

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 8 września 1946 r.

Nr 36 (93)

LEOPOLD STAFF

### OGRODNICY

W parku łagodni ogrodnicy  
Rozpylaczami koszą grządki  
Hiacyntów i storczyków.  
Taka jest moc nawyku!  
Bo pomną jak to ongi  
Kropili, z lepszej broni,  
W kamienne koronki  
Gotyckich wież i wieżyczek.

Od tych dni dzieli mnie wiele drzew,  
Wśród których szedłem przez ogrody  
I upłynęło tyle wody,  
Jakby to była ludzka krew.

Tymczasem nawodniona Sahara  
Rozkwitła cała jak jeden sad.  
W nocy księżyc podlewa go rosa  
I w mgle tancerka tańczy boso  
wśród kwiatów sama jak kwiat.  
We dnie, pod gołym niebem goły,  
W słońcu opala się mój brat.  
Ale ma trupa oczodoły.

TEODOR TIUTCZEW

### CYCERON

Rzekł mówca rzymski: „W one dnię  
Walk bratobójczych, burz i trwogi  
Spóźniony wstałem — i śród drogi  
Noc Rzymu zaskoczyła mnie”.  
Tak! Lecz żegnając rzymską sławę  
Z kapitolijjskiej wysokości,  
Tyś w całej chwale i świetności  
Zachód jej gwiazdy widział krwawej!

Szczęśliwy, kto oglądał świat  
W chwilach przemiany i przełomu:  
Bogowie go do swego domu  
Wezwali, by do uczyły siadł.  
W ich radzie uczestniczył świętej,  
Ich wzniosłych igrysk widzem był  
I żywcem, jako wniebowzięty,  
Z ich czary nieśmiertelność pił.

przełożył Julian Tuwim

INNOCENTY ANNIENSKI

### PETERSBURG

Żółta paro petersburskiej zimy!  
Żółty śniegu na kupach kamieni!  
Gdzie tu my a gdzie wy? nic nie wiemy,  
Wiemy tylko, żeśmy mocno spojeni.

Czy to Szwed nas utopić nie zdążył,  
Czy stworzyły nas carskie ukazy,  
Nas — nie klechda z przeszłością wiąże,  
Lecz podania straszliwe i gazy.

Żółtoburą Nową ów czarodziej  
Dał nam tylko — i złomy granitu  
! pustynie niemych placów, gdzie co dzień  
Ludziom głowy ścinano do świtu.

A co było na ziemi ku chwale,  
Czym nasz orzeł dwugłowy rósł w sławę:  
Kolos w ciemnych wawrzynach na skale  
Będzie jutro malcom na zabawę.

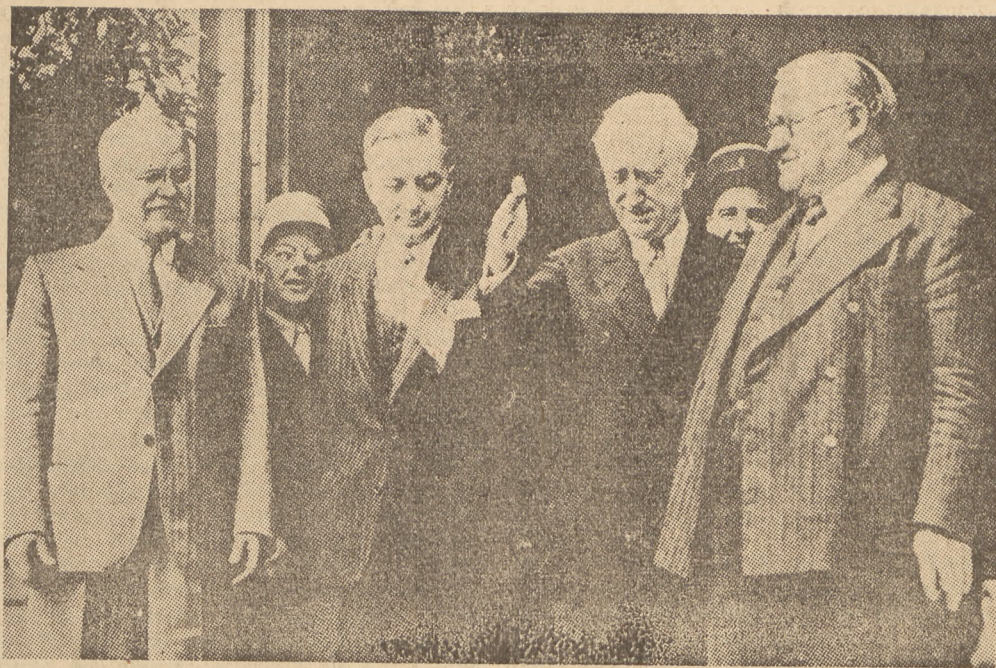
łuz i groźny był niby i wielki,  
A koń zdradził przez furię szatańską:  
Car nie zmiadził z mił-kusicielki,  
Nadeptaną zaś — czcimy pogańsko.

Bez radości, bez łez, bez świątyni,  
Bez uśmiechu, bez złudy poczęty!  
Tylko gazy ze zmarzłej pustyni  
I świadomość omyłki przeklejącej!

Nawet wtedy, gdy w mgłę nad falami  
Cienie drżą białych nocy majowych,  
To nie czara z wiosennymi snami,  
To truczna zamierzeń jałowych.

przełożył Julian Tuwim

# NARÓD PRAGNIE POKOJU



Wielka Czwórka na Konferencji Paryskiej: (od lewej do prawej) Molotov, Bidault, Byrnes i Bevin

## TYDZIEŃ POLITYCZNY

„Decyzja jest teraz w ręku tych partij: Czy potrafią one zerwać solidarność ze swymi o-twarci reakcyjnymi towarzyszymi z kampanii „nie”, aby potwierdzić, nawet wbrew swym interesom wyborczym, swą wolę postępu społecznego, który nie może być prawdziwym bez ich pozytywnej i ścisłej współpracy z partiami robotniczymi”.

Cytat nie pochodzi z prasy polskiej: jest opinią francuskiego radykalno-katolickiego „Esprit” o sytuacji M. R. P. i bloku „radykalno-socjalnego” po ich kampanii „nie” w sprawie referendum konstytucyjnego. Sytuacja wewnętrzno-polityczna w wielu krajach europejskich jest dziś nieraz podobniejsza, niżby się pozornie zdawało. Ilekroć stronnictwa centrowe, współzrządzające z lewicą ujawniają swój z nią konflikt co do metod rządzenia na zewnątrz, tylekroć stają się, może czasem wbrew własnej woli, narzędziem tych kierunków politycznych, które nie tylko u nas określa się słowem „reakcja”, a których istotną cechą jest chęć zlikwidowania nowopowstałego układu sił społecznych i gospodarczych na wewnątrz, aktywnego współudziału Związku Radzieckiego w polityce europejskiej i światowej — na zewnątrz. Nieraz z pewnością wbrew własnym intencjom. Ani chłopci, ani warstwy drobno-mieszczzańskie, ani będące ich odpowiednikiem stronnictwa nie chcą powrotu wielkokapita-listycznych form gospodarki w mieście i na wsi, nie chcą powrotu Niemiec do czynnej roli w polityce międzynarodowej. Ale zapominają, że nie można rządzić wbrew stronnictwom robotniczym bez poparcia elementów wielkokapita-listycznych (własnych i międzynarodowych) i że tym elementom trzeba będzie za poparcie zapłacić. Zapominają, że nie można występować przeciw Związkowi Radzieckiemu bez użycia także i Niemiec za pomocnika — i że także Niemcom trzeba za to zapłacić.

Z tego punktu widzenia trzeba patrzeć na obecne kongresy polityczne w Polsce. Mamy za sobą Radę Naczelną PPS i Radę Naczelną Partii Pracy. Rada Naczelna PPS dowiodła, że mimo pewnych różnic między partiami robotniczymi i mimo różnic poglądów wewnątrz tych partij — współpraca jest wytyczną polityki obu. Rada Naczelna Partii Pracy dowiodła, że elementy drobno-mieszczzańskie, stojące na stanowisku chrześcijańskim, przełamały wewnętrzny kryzys — choć z pewnymi stratami. Niemniej obie Rady naczelne wysunęły jedno i to samo hasło polityczne: współpracę sześciu stronnictw, choć przyjęły także alternatywę współpracy mniejszej ich liczby, o ile

któreś ze stronnictw na współpracę nie pój-dzie.

Ewolucja wewnętrzno-polityczna ostatnich miesięcy ujawniła jeszcze jedno: o ile pewna różnica poglądów na temat metod rządzenia i współpracy wewnątrz stronnictw robotniczych nie powoduje w nich rozłamów, o ile konsolidacja wewnętrzna w tych stronnictwach postępuje naprzód — to następstwem takich różnic w stronnictwie drobno-mieszczzańskim i stronnictwie chłopskim są rozłamy wewnętrzne. Uświadomienie sobie konieczności współdziałania jest widoczne w tych warstwach społecznych mniejsze, wewnętrzne opory przeciw niej silniejsze.

Wchodzimy w okres przedwyborczy. W okresie tym możliwe są dwa punkty tarcia między stronnictwami. Pierwszym jest sprawa ordynacji wyborczej. Tu walka rozegra się w Krajowej Radzie Narodowej. Drugim jest blok wyborczy. Tu walka rozegra się poza naszym tymczasowym parlamentem, między stronnictwami. Od sposobu załatwienia tych obu spraw, przede wszystkim tej drugiej sprawy, zależeć będzie odpowiedź na pytanie: czy dalszy rozwój wewnętrzny Polski pójdzie po dotychczasowej linii; po drodze pokoju i odbudowy. Chcemy, żeby odpowiedź była pozytywna.

### WIĘCEJ FAKTÓW O NIEMCACH

Obecna konferencja paryska nie decyduje o losie Niemiec, ale wiele z tego, co zastosowano na niej, przesądzi o sposobie traktowania Niemiec na przyszłej konferencji pokojowej. Zastosuje się zapewne te same przepisy proceduralne, które, z takim trudem, zastosowano na obecnej. Wysłucha się na niej, przed powzięciem decyzji, przedstawiciele Niemiec, tak jak się obecnie słucha przedstawicieli ich satelitów. A jeśli do tego czasu nie będzie — oby — jednego rządu niemieckiego, to wysłucha się po kolei przedstawicieli sześciu czy ośmiu rządów prowincjonalnych niemieckich, z których każdy będzie twierdził, że jego obywatele nie mieli nigdy nic wspólnego z hitleryzmem. Obecna konferencja, wskazując przykładowo na satelitach Niemiec, jak będzie wyglądała konferencja pokojowa w sprawie niemieckiej, dowodzi, że problem niemiecki, który nigdy nie przestał być problemem licznego w środku Europy narodu, stać się może niedługo problemem nie tylko narodu, ale problemem państwowo-politycznym.

Obawiam się, że opinia polska zagadnienia tego nie rozumie. Kleśka Niemiec była tak wielka, że przyniosła psychicznie Niemców (— tylko chwilowo, to się już kończy —) i za-

fascynowała Polaków. Niemcy się już otrząsają z kompleksu kłeski, Polacy, w ogromnej większości, trwają jeszcze w sugestii, że Niemcy są tylko problemem terytorialnym czy etnicznym, a nie problemem politycznym. I z tego punktu widzenia jest niedobrze, że tak mało dochodzi do nas z tego, co Niemcy piszą i mówią. Niedobrze z dwóch punktów widzenia. Obiektywnie: jak największa dostępność prasy i książki niemieckiej w Polsce unaocznia, lepiej niż cokolwiek innego, wczesną aktualność niebezpieczeństwa niemieckiego. Subiektywnie: każda przeczytana gazeta niemiecka, każda książka niemiecka z anglosaskich stref okupacyjnych powinna w czytelniku polskim wzbudzić przekonanie, jak trafna jest polityka zagraniczna rządu polskiego — o ile polski czytelnik myśli a nie reaguje uczuciowo, a trudno nie mieć złudzenia, że są jednak w Polsce ludzie, którzy myślą.

Niemcy stosują dziś tę samą taktykę, co po pierwszej wojnie światowej. Na zewnątrz przejęli całą zachodnio-europejską frazeologię nowej międzynarodowej solidarności, ubierając ją w postać ich interesem dogodną: hitleryzm — twierdzą — był szczególnie ostrą formą pewnej typowej powszechnej psychozy, jeśli więc Niemcy, jako całość, mają za coś odpowiadać, to za ostrych tej formy, nie za jej treść. Jeśli zaś psychoza ta nie ma się powtórzyć, to należy dla każdego narodu, także dla Niemców na równi z innymi narodami, stworzyć warunki wykluczające jej powstanie. U siebie Niemcy traktują hitleryzm jako sprawę wewnętrzną; pociąganie do odpowiedzialności za nią należy do Niemców, nie do kogo innego. Dlatego Ernst Wiechert spokojnie drukuje mowy, pozornie pełne poczucia winy Niemiec i poczucia solidarności ogólnoeuropejskiej, choć w formie i stylizacji nawiązują do mów Fichtego. Tamte „Mowy do narodu niemieckiego” były wygłaszane po Jenie, te po Klesce roku 1945 — ale pamiętajmy, co było w 8 lat po Jenie i jaką rolę w duchowym odrodzeniu niemieckiego rewanżu odegrał Fichte. Dlatego Ernst Junger spokojnie pisze swe historiozoficzne wywody o odpowiedzialności całego świata za drugą wojnę światową, i tylko ten czy ów wypomni mu jego prace o totalnej wojnie, zapominając, że jego książka „Der Arbeiter” była ewangelią hitlerowskiej polityki społecznej. Dlatego ten czy inny „socjaldemokratyczny” Schuhmacher może, w imię rzekomej solidarności Zachodu przeciw Wschodowi, protestować przeciwko obecnym wschodnim granicom Niemiec i nikt mu nie przypomni, że jego poprzednik, socjaldemokratyczny wicepremier Prus, podobnie protestował w roku 1919 przeciw rozbiciu Prus na drobne państewka, przytaczając jako decydujący argument, że utrudni to germanizację Poznańskiego (tak samo nie chciał wtedy uznać Poznańskiego za ziemię polską).

Prusy chciały wtedy rozbić na drobne państewka, widząc w tym najpewniejszą szansę demokratyzacji Niemiec, Hugo Preuss, wielki uczyony i wielki demokrat. Niemcy są narodem, w którym było wielu wielkich uczonych i wielkich demokratów.

Polska musi się przygotować do rychłej już może kampanii o pokój z Niemcami, która będzie równocześnie kampanią o przyszły los nie tylko Niemiec, ale i Polski. Do rządu należy przygotowanie tej kampanii na zewnątrz. Społeczeństwo zaś musi być utrzymywane w stanie czujności. Dlatego — jak najmniejszej informacji o tym, co Niemcy piszą i myślą (dotąd robi to tylko „Odra”). Dlatego — dostęp do prasy i książki niemieckiej jest również, a może jeszcze bardziej konieczny niż, nieraz czysto snobistycznie propagowany, dostęp do prasy i książki anglosaskiej. Dlatego — jest potrzebne ułatwienie kontaktu z tymi Niemcami, którzy rozumieją konieczność trwałego układu stosunków polsko-niemieckich na tej podstawie, którą stworzyła deklaracja poczdamska. Gdy znany polski działacz socjalistyczny otrzymuje list od socjalisty niemieckiego stwierdzający, że granice Polski na Odrze i Nysie są nieuniknioną konsekwencją hitleryzmu — jest to dowodem, że są i tacy Niemcy. To musi być wyzyskane. Jutro, pojutrze czy za 5 lat zacznie rezydować w Berlinie czy gdzie indziej polski ambasador. Już dziś trzeba przygotować mu grunt pod nogami.

Konstanty Grzybowski

JAN REYCHMAN

# Węgry, Polska i sąsiedzi

I

W zimie z 1943 na 1944, tuż przed wkroczeniem Niemców na Węgry, ukazała się w Budapeszcie godna uwagi książka: „Ungarn und die Nachbarvölker“; była ona jakby testamentem politycznym kończącej się wówczas ery Horthyego i Kallaya. Usiłując wyostać się ze ślepej uliczki, w której znalazły się wtedy Węgry, szukając gorączkowo alibi dla siebie, polityka Horthyego i Kallaya próbowała oprzeć się o taką ideologię historyczofobiczną o taką koncepcję dziejową, która dałaby małym Węgom możliwość odegrania roli, do jakiej pretendowały. Tendencja ta ujawniła się w serii wydawnictw, mających uzasadnić organiczny związek Węgier z ich sąsiadami w „basenie naddunajskim“, tworzącym jakoby jednolitą całość, w której miejsce przewodnie należało do Węgier, ich kultury i misji politycznej. Publikacje te omawiały takie tematy: Węgry i Dunaj, Węgry i Bałkany, Węgry i Słowiańszczyzna; ukoronowaniem ich była zbiorowa edycja „Węgrzy i ich sąsiedzi“, wydana przez ukryte za parawanem „Balkan-auschuss“ i „Danubia Verlag“ węgierskie koła rządowe.

Trzon tego wydawnictwa opracował zespół młodych węgierskich historyków kultury, którzy podjęli się badania stosunków między Węgrami i narodami z nimi współmieszkającymi w „basenie naddunajskim“ w tym celu, aby ujawnić wkład kultury węgierskiej. Zamierzenie to miało niewątpliwie cele polityczne. Miało uzasadnić dążenia rewizjonistyczne Węgier, bądź też usprawiedliwić tak reklamowaną wtedy „kierowniczą rolę Węgier“ w „basenie naddunajskim“. Ta „rola kierownicza“ zadowoliliby ówczesnych polityków węgierskich, gdyby się nie udało ich plany przywrócenia granic sprzed 1914 r. O źródło nawrotu do koncepcyj federalistycznych Kossutha, oto powód dlaczego tak uporczywie gromadzono materiały, mające uzasadnić tezy o prymacie kultury węgierskiej między Karpatami a Dunajem, o „misji dziejowej“ Węgier i ich twórczej roli organizacyjnej.

Mimo że sama publikacja tych materiałów miała doraźne cele polityczne, nie da się zaprzeczyć, że wśród młodszych węgierskiego pokolenia naukowego pojawił się godny pochwały kierunek, dążący do gruntownej rewizji dotychczasowego sposobu patrzenia na sąsiadów, do porzucenia lekceważącego stosunku wobec dorobku kulturalnego Serbów, Bałkanów, Słowaków czy Rumunów.

Ta młodsza generacja węgierskich historyków kultury, do której należą Lengyel, Gál, Gáldi, Kovács, Hadrovics, Csapláros, Tamas i Vajlok, grupowała się wokół wydawnictw „Archivum Europae Centro-Orientalis“, „Donaueuropa“ i „Revue des Etudes Comparées“ (powstała z dawnej „Revue des études Hongroises“); organem jej było najpierw „Uj Szellem“, a potem ciekawe, do wojny wychodzące czasopismo „Apollo“, poświęcone dziejom kultury Europy Środkowo-Wschodniej. Grupa ta zdecydowała o obliczu i treści omawianego tu wydawnictwa o Węgrzech i ich sąsiadach.

II

Pokaźne, około 250 stronic liczące dzieło, spokojnie i rzeczowo ujęte, nie przeniknięte frazeologią demagogii politycznej, nie drażniące niemieckich sojuszników, ale równocześnie łatwostrawne i dla anglosaskich przeciwników, miało stanowić w nauce odpowiednik ówczesnych wysiłków czynionych przez dyplomację węgierską, aby znaleźć jakieś pośrednie miejsce w zbliżającym się szybko do końca gigantycznym konflikcie między „osią“ a jej możliwymi przeciwnikami.

Redaktorem książki był dr Gál, autor wydanej w 1941 r. broszurki o tradycji stosunków angielsko-węgierskich, rozszerzonej potem w większe dziełko wydane w języku angielskim i drukowane w oblężonym już Budapeszcie w zimie 1944—1945 pod ogniem dział artyleryjskich, tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

Książka o Węgrach i ich sąsiadach miała, jak się zdaje (gdyż nie ma w niej przedmowy, która by określała cele i zadania wydawnictwa), ująć dzieje stosunków Węgier z sąsiadami, a właściwie mówiąc, całość kulturalnego promieniowania Węgier na sąsiednie narody. Atoli tego rodzaju wydawnictwa zbiorowe powinny być opracowywane według pewnych zasad ogólnych, które gwarantowałyby jednolitość ujęcia przez autorów poszczególnych działów. W książce tej brakuje sprecyzowania, czy objąć ma ona tylko stosunki kulturalne, czy też polityczne, a może i gospodarcze? Czy ma mówić o stosunkach wzajemnych, czy tylko o wpływach węgierskich na sąsiednie ludy? A wreszcie, co należy rozumieć pod nazwą „narody sąsiednie“? Brak koncepcji wpłynął na niejednolitość sformułowań, co ujemnie odbiło się na całości dzieła.

Książka zawiera — poza wstępną, ogólną rozprawą Gyuli Miskolczygo o Węgrzech i sąsiadach — dwanaście artykułów szczegółowych, obejmujących kolejno stosunki Węgier z Niemcami, Polakami, Czechami, Słowakami, Rusinami, Słowenami, Słowenami, Chorwatami, Serbami, Nowogrekami, Rumunami, Bułgarami i Turkami. Przy czytaniu poszczególnych rozpraw rzuca się w oczy ich niejednolitość. Są rozprawy, które obejmują całość stosunków kulturalnych — aż do wyliczenia wpływów w zakresie słownictwa z wyszczególnieniem zapożyczeń słownych i wyliczeniem przekładów; inne natomiast ograniczają się do ogólnego przeglądu stosunków bez zagłębiania się w szczegóły. Są rozprawy, które obejmują tylko wkład węgierski do kultur ościennych — a więc omówienie tego co Węgry im dawały, inne przedstawiają też i to, co od nich brały, niektóre zaś (np. artykuł o stosunkach węgiersko-tureckich) wychodzą znacznie poza ramy dziejów stosunków kulturalnych.

Nieczym nieuzasadniona jest też rozpiętość rozmiarów poszczególnych artykułów. Stosunkom z Polską poświęcono 9 stron, gdy Nowogrekom dańo 21 (!) stron. Stosunki z Czechami wyłożone są aż na 20 stronach, gdy Rumunom, którzy pozostawali bezsprzecznie pod silnym i stałym wpływem kultury węgierskiej, poświęcono tylko 15 stron.

Pewne zastrzeżenia budzi wybór tych narodów, które potraktowano jako sąsiadów. Kogo bowiem należy uważać za sąsiada? Jeśli tych, z którymi naród węgierski w swej masie etnicznej sąsiaduje, to zwanie zamieszkałe przez Węgrów terytorium nie styka się nigdzie z etnicznym obszarem ani polskim, ani czeskim, ani bułgarskim, ani tureckim. Jeśli zaś pojęcie to ma obejmować narody, z którymi lub z których organizmami państwowymi graniczyło ongiś dawne państwo węgierskie, to dlaczego jest Turcja a nie ma Włoch, choć Wenecja w średniowieczu długo sąsiadowała z Węgrami, a stosunki kulturalne włosko-węgierskie były bardzo żywe aż do czasów nowszych? Jeśli są Nowogrecy, może z racji dawnego sąsiedztwa z Bizancjum, albo może też z powodu kolonii greckich na Węgrzech, to dlaczego nie ma innych ludów, które osiedlały się na Węgrzech, dlaczego nie ma — nie mówiąc już o Żydach — choćby Ormian, u których wpływ kultury węgierskiej wyraził się bardzo silnie, aż do zupełnej ich asymilacji?

III

Te braki metodyczne odbiły się silnie na rozdziale poświęconym Polsce. Dzieje węgierskich wpływów kulturalnych w Polsce opracował długoletni lektor, potem wykładowca dziejów węgierskich na Uniwersytecie Warszawskim, prof. dr A. Divéky. Autor ograniczył się do czterech zasadniczych epizodów infiltracji węgierskich w Polsce: do zapożyczeń z Węgier w zakresie górnictwa solnego w Polsce średniowiecznej (np. legenda o pierścieniu św. Kingi), do wpływów prawa węgierskiego na polskie, np. w zakresie pochodzenia artykułu de non praestanda obediencia (zagadnieniu temu poświęcił dr Divéky w czasie wojny gruntowną rozprawę pt. „Az arány bulla hatása a lengel jogra“, Budapeszt, 1942), do związków kulturalnych w okresie humanizmu, wyrażających się m. i. w przysłaniu majstrów węgierskich do budowy katedry na Wawelu (marmury do Kaplicy Zygmuntowskiej sprowadzono z kamieniołomów w okolicy Esztergomu) i do wpływów wojskowych w okresie panowania Batoiego w Polsce, czego pozostałością jest wiele dotąd istniejących zapożyczeń słownych związanych z wojskiem, jego organizacją i ubiorami. (Na marginesie: czy „orszak“ pochodzi od „ország“ — państwo? Odpowiadałaby nam raczej starsza koncepcja Brücknera, wywodząca „orszak“ od „orség“ — straż, świta, warta).

Czy to wszystko wyczerpuje sprawę wpływów węgierskich w Polsce? Bezsprzecznie trudność mówienia o Polsce w sprzymierzonych z Niemcami Węgrzech musiała wpłynąć na ograniczenie artykułu; ale omawiając wpływy węgierskie w Polsce nie można poprzestać na kulturze warstw wyższych, gdyż infiltracje węgierskie objawiały się i w kulturach nieszlacheckich. Trzeba więc wspomnieć o silnych wpływach w dziedzinie kultury ludowej, przede wszystkim jeśli idzie o pasterstwo karpacie; zagadnienie tych wpływów opracował z węgierskiego punktu widzenia prof. I. Kniezza w mało u nas znanej rozprawie „A tót és lengyel költőköd pastorkodás magyar kacsolatái“ („Węgierskie związki słowackiego i polskiego pasterstwa wędrownego“) w czasopiśmie „Ethnografia-Népelet“, 1934. Wiele terminów z życia pasterskiego w Karpatach jest pochodzenia węgierskiego, jak np. „juhas“, „bojtar“, „gazda“, „rowas“, „banować“, „falatek“, „kielczyk“. Te zapożyczenia pasterskie tworzą więc grupę zupełnie odrębną od wyliczonych przez Divékyego terminów węgierskich związanych z wpływami w zakresie organizacji wojskowej czy strojów, takich jak „szereg“, „tabor“, „husarz“, „bekiesza“.

Nie pozostała bez wpływu i dziedzina muzyki ludowej, a cenna rozprawka A. Chybińskiego „O źródłach i rozpowszechnieniu dwudziestu melodji ludowych na Skalnym Podhalu“ („Kwartalnik Muzyczny“, nr 17—18, 1933) wskazuje na węgierskie koligacje wielu polskich motywów muzycznych. Szczegółowe badania dorzuciłyby niewątpliwie dużo ciekawego materiału. K. Stecki w swej rozprawie o „Ludowych obrazach na szkle“ w „Roczniku Podhalańskim“ (I, 1914—1921), wskazał na węgierskie pochodzenie (z komitatu Gömör) pewnych obrazów na Podhalu. Takie same wpływy dałoby się ujawnić i w zakresie stroju ludowego; trzeba by zbadać związki między naszymi wyszyciami i zdobnictwem haftowym a węgierskimi (t. zw. „himzömüvészet“, szczególnie zaś „ciffraszür“, to jest jakby „wyszycia cyfrowe“, opracowane przez najwybitniejszego etnografa węgierskiego Györfyego w pracy „A cifra szür, Budapest 1930). Są też echa węgierskie w poezji ludowej; echa powstania węgierskiego w pieśniach góralskich zebrał swego czasu J. Zborowski w „Ludzie“ (1931, seria II, tom X).

Nie można też dziejów wpływów węgierskich w Polsce ograniczać chronologicznie. Nie kończą się one bynajmniej u schyłku XVI w. Choćby sprawa t. zw. plechoty węgierskiej w Polsce, która — chociaż się z Węgrów już w większości nie składała — nosiła strój węgierski i przetrwała długo po śmierci Batoiego. Kitowicz pisze o niej w swym „Opisie obyczajów“: „Król we wszystkich trzech chorągwiach węgierskiej, który ponieważ się oczom i dziś prezentuje na Węgrzynach, którzy chodzą po kraju z olejkami... dlatego opisem jego nie fatyguję czytelnika“. Ciąg dalszy tych zapożyczeń wojskowych, to huzarzy z XIX w. Jeszcze inny teren wpływów do ludwisarstwa. Wiadomo, że większość osiemnastowiecznych dzwonów w okolicach karpaccich pochodzi z ludwisarni węgierskich.

Ale poza tym wiele jeszcze winni jesteśmy Węgom na polu kulturalnym. Jak w średniowieczu i z początkiem okresu nowożytnego druki węgierskie ukazywały się w krakowskich tłoczniach, a żacy węgierscy studiowali na uniwersytecie krakowskim, tak potem widzimy druki polskie na Węgrzech (są to druki z Nagyszombat, obecnie Trnawa, głównie z połowy XVIII w.) i scholarów polskich czy to na akademii w Trnawie (tu wyszła np., w r. 1744, Marcina Francowicza „Vita beatae Cunegundis, reginae Hungariae principis, ac deinde reginae Poloniae et patronae Poloniae idiomate latinitate donata per Franc. Petrykowskiego“), czy potem na akademii górniczej w Selmezbanya (obecnie Bańska Szczawnica). Tak Nagyszombat jak Selmezbanya są to epizody jeszcze nieopracowane, a ze wszelkim miarę godnie uwagi w dziejach studiów polskich scholarzy za granicą.

Z wiekiem XIX przychodzi oddziaływanie literackie. Jeżeli w rozdziałach poświęconych temu, co dali Węgrzy Czechom czy Słowenom, wyliczyć można było każdy prawie przekład z węgierskiego, to dlaczego nie można tego było uczynić omawiając stosunki węgiersko-polskie? A te wpływy literackie to dziedzina obszerna i godna szczególnej uwagi.

A więc popularność „poety wolności i demokracji“ Petöfiego, znanego u nas wprawdzie głównie z przekładów z drugiej ręki Duchinińskiej, Sabowskiego i Langego, potem ze świetnych bezpośrednich tłumaczeń genialnego poliglota, filologa i orientalisty, nieodżałowanego Andrzeja Gawrońskiego Obok Petöfiego Vörösmárthy i Madách. Niezwykła popularność Jokája, którego lista przekładów w Polsce zawiera przeszło setkę pozycji, a który poczytnością dorównuje u schyłku XIX wieku najpopularniejszemu pisarcom krajowym. Molnár, którego „A Pál utca fiuk“ znane u nas jako „Chłopy z placu broni“, jak i dramaty,

cieszą się dotąd dużym powodzeniem. Dalej nowi autorzy: Torna, Körmeny, Márkovics, Földés („Ulica Kota Rybołowcy“) Innym strumieniem płynie popularność farsy węgierskiej w Polsce, tych wszystkich Bekeffich, Bus-Fekete i im. podobnych, idąca w parze ze stałym popytem na węgierską operetkę (Lehár, Kalman, Abraham) i wiążąca się z echem tej „węgierskości“ w lżejszej muzyce polskiej („Czardasz“ z „Ducha wojewody“ Grossmana).

Wreszcie zupełnie odrębny rozdział to zainteresowania kulturą węgierską wśród Polaków w okresie pobytu parutysięcznej masy uchodźców polskich na Węgrzech w latach 1939—1945, które wyraziły się w licznych przekładach i w spopularyzowaniu nowych nazwisk jak Ady, Attila, Aprily, Gárdonyi, reprezentujących społeczne oblicze węgierskiej literatury. Echem tych zainteresowań jest wydany już po wyzwoleniu mały tomik Gárdonyiego.

Wielką więc dziedzina tych spraw leży odłogiem i czeka dopiero na gruntowne opracowanie.

IV

Gdy się weźmie do ręki „Ungarn und die Nachbarvölker“, mimo woli nasuwa się refleksja, czy nie byłoby rzeczą pożyteczną pomysłcie kiedyś o takim polskim wydawnictwie, ujmującym wszystko to, co Polska dała otaczającym ją narodom, całość polskiego wkładu do kultury sąsiadów i udziału Polaków we wszystkich dziedzinach twórczości ludzkiej.

Całość polskiego wkładu do kultury światowej próbowało objąć, dziś już nieco przestarzałe, ale zawsze pożyteczne wydawnictwo zbiorowe „Polska w kulturze powszechnej“, wydane w r. 1918 pod redakcją F. Konecznego (skrót wyszedł w Rzymie w roku ubiegłym). W książce pt. „Polacy w cywilizacjach świata“ opracował ogólnie udział Polaków we wszystkich dziedzinach twórczości M. Rettinger. Pod tym samym tytułem „Polacy w cywilizacjach świata“ zaczęło wychodzić przed samą wojną zbiorowe wydawnictwo, które miało objąć stosunki Polski ze wszystkimi po kolei narodami, a następnie udział Polaków w rozmaitych dziedzinach kultury i cywilizacji. Wydawnictwo to, po paru zeszytach, przetrwała druga wojna światowa. Wydawnictwa te są jednak bądź przestarzałe, niedokończone, bądź zbyt przeglądowe, nie obejmują też stosunków z sąsiadami, o co nam tu szczególnie chodzi. Nie obejmują one tego, co powstało przed sobą omawiane przez nas węgierskie wydawnictwo, które miało określony cel: zobrazowanie wkładu kultury węgierskiej do kultury sąsiadów. Czy tego rodzaju wydawnictwo nie byłoby dziś u nas pożyteczne?

Nie mamy dotąd dzieła obejmującego całość stosunków Polski z sąsiadami, mamy tylko fragmentaryczne opracowania. Czy zestawili ktoś związki kulturalne Polski z Rosją od druków ruskich w Krakowie w XVI w., poprzez wpływy kulturalne w XVII w., przez oddziaływanie poezji i wiersyfikacji polskiej na rosyjską w XVIII w. aż do epoki dekabrystów, Mickiewicza w Rosji i czasów najnowszych? A co wiemy o stosunkach z Ukrainą, poza drukami z XVI—XVII w. czy znajomością Zaleskiego z Szewczenką? Tak samo nie zestawiliśmy dotąd związków z Łotwą czy Litwinami, a przecież pierwsze druki totewskie wyszły w Wilnie.

Pewne epizody z dziejów naszego wkładu do kultury czeskiej opracował Szyjkowski, obiecuje coś Piwarski. Jeśli idzie o Słowację, gdzie był silny wpływ literatury polskiej, zwłaszcza w epoce romantyzmu, opracowali pewne epizody Bobek, Semkowicz i Olszewicz. Sprawa wpływu na Węgry jest prawie nietknięta przez naukę polską. Lepiej już z Rumunami: po szkicach Wędkiewicza i Iorgi całość związków kulturalnych polsko-rumuńskich ujął w obszernym, encyklopedycznym dziele St. Łukasik. Zbadać by też trzeba całość oddziaływań polskich na kulturę niemiecką — wyjdzie wtedy na jaw wiele ciekawych kwestii — od zapożyczeń słownych, poprzez wpływy Kochanowskiego na niemiecką literaturę regionalną (głównie na pograniczu polskim) aż po epokę „Polenlieder“ po roku 1831; kwestię tę opracował już częściowo Galicz.

„Polska i jej sąsiedzi“ — to świetny temat dla zbiorowego wydawnictwa, którego brak daje się odczuwać i które właśnie dziś liczy się być mogło na dużą poczytność.

Jan Reyehman

7 lat temu Niemcy uderzyli na Polskę.  
O przebiegu wojny polsko-niemieckiej  
mówi wyczerpujące dzieło

**JERZY KIRCHMAYER**  
plk dypl.

**KAMPANIA  
WRZEŚNIOWA**

Cena 300.- zł.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA  
»CZYTELNIK«

DO NABYCIA  
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

258

W najbliższym numerze  
»Odrodzenia«

**ILIA ERENBURG  
W KANADZIE**

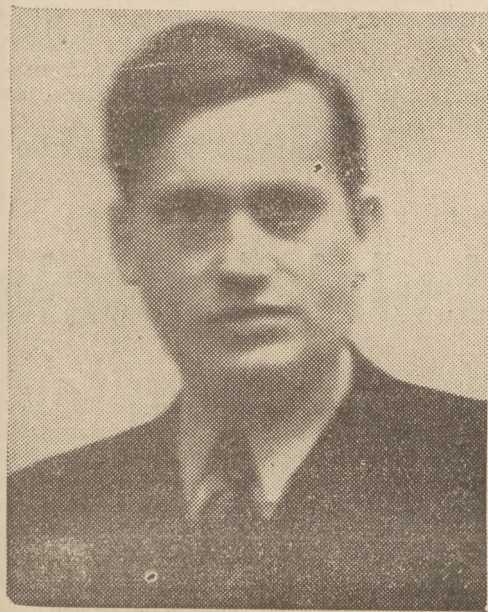
STANISŁAW MACKIEWICZ (Cat)

# Sojusz z Anglią był sojuszem egzotycznym

W Londynie ukazała się przed kilku tygodniami książka głośnego przed wojną w Polsce dziennikarza i publicysty konserwatywno-sanacyjnego Stanisława Mackiewicza (Cat) pt. „Lata nadziei”. Przez wiele lat Mackiewicz wydawał i redagował w Wilnie dziennik „Słowo”. Poglądy polityczne Mackiewicza były w kraju znane. Nie zmienił ich na emigracji. Za głównego wroga uważał nadal Związek Radziecki, występuje przeciw Anglii i Francji, najmniej zastrzeżeń ma do Niemiec. Ma ukryty żal do Becka i Rydza-Śmigłego, że w roku 1939 nie poszli na porozumienie z Hitlerem. Czczy nadal pamięć Piłsudskiego; nie znosi jednak jego uczniów, Becka i Rydza-Śmigłego; dość ciepło odzywa się natomiast o Sosnkowskim i zmarłym niedawno Ignacym Matuszewskim. Nienawidzi oczywiście Polski Odrodzonej, rok 1945 uważa za „najczarniejszy” w dziejach kraju.

„Lata nadziei” mają przedstawić poglądy Mackiewicza na sytuację polityczną polskiej emigracji na Zachodzie w latach 1939—1945 r., tj. od początku do zakończenia wojny. Trudno cytować całą książkę. Wymujemy z niej tylko te ustępy i rozdziały, które mówią o mniej znanych wydarzeniach na emigracji i przedstawiają stosunek Mackiewicza do Anglii.

Warto zaznaczyć, że prowadzi on w Londynie żywą działalność publicystyczną. Wydał dotąd pięć książek i czterdzieści kilka broszur politycznych.



Stanisław Mackiewicz (Cat)

## DWIE TRAGICZNE, NIEDOTRZYMANE UMOWY

### I

Weszliśmy do wojny z Niemcami w 1939 r. na podstawie konwencji wojskowej z Francją i układu politycznego z Anglią.

Francja z miejsca nie dotrzymała nam konwencji.

Anglia w 1945 r. w czasie konferencji w Jałcie dopuściła się złamania układu politycznego.

Możemy więc załamywać ręce i twierdzić, że zostaliśmy perfidnie oszukani i porzuceni przez sojuszników i będzie to zgodne z prawdą. Ale to, co się nazywa „rozumem stanu”, nie polega na biadaniu ex post nad przewrotnością spółników, lecz na umiejętności przewidywania, czy układy nam proponowane będą, czy też nie będą, przez kontrahenta dotrzymane. A ci, którzy podjęli się kierować naszymi losami, nie tylko politycznie przewidywać, lecz politycznie myśleć nie umieli. Za ich zarozumiałość i pewność siebie dzieci nasze zapłaciły krwią, państwo utratą niepodległości.

### II

Konwencja wojskowa z Francją została podpisana podczas pobytu w Paryżu naszego ministra spraw wojskowych, gen. Tadeusza Kasprzyckiego i pułkownika Jaklicza, szefa wywiadu operacyjnego. Przewidywała ona rozpoczęcie generalnej ofensywy francuskiej na siedemnasty dzień napaści Niemiec na Polskę.

Jak wiadomo napaść Niemców na Polskę miała miejsce 1 września 1939 rano, w nocy z 16 na 17 września wkroczyły na nasze terytorium wojska sowieckie (zapewne Sowiety znały treść omawianej polsko-francuskiej konwencji), a w dniu, w którym ofensywa francuska miała się rozpocząć, 17 września, wódz naczelny armii polskiej, marszałek Rydz-Śmigły, przekroczył granice Rumunii, gdzie został internowany.

Poza tym omawiana konwencja wojskowa przewidywała lokalne demonstracje przeciw nieprzyjacielowi i działalność lotniczą od pierwszego dnia wojny.

Francuzi nie dotrzymali tej konwencji. Nie było z ich strony dostatecznych demonstracji lokalnych, ani też działalności lotniczej. Nad Niemcami latali Anglicy, ale rzucali bomby lecz ulotki.

Polacy byli pozostawieni siłom własnym, nie zdążyli się nawet zmobilizować. Moglibyś-

my wystawić 60 dywizji piechoty, zdążyliśmy zmobilizować tylko 33. Nasi sojusznicy podczas polskiej wojny z Niemcami byli tylko spektatorami krwawego widowiska.

Francuzi mogliby powiedzieć: — siedemnastego dnia wojny, na który zgodnie ustaliliśmy naszą pomoc, wszelka nasza ofensywa straciła rację bytu, ponieważ Polski już nie było.

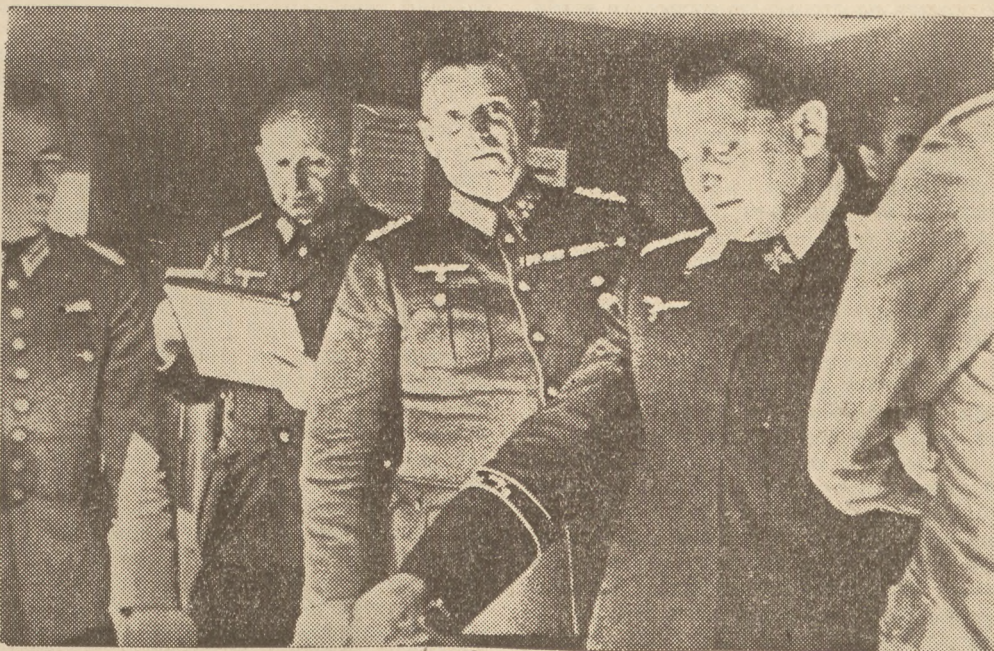
Francuzi mogliby tak powiedzieć, gdyby istotnie do ofensywy, nam w konwencji obiecanej, przygotowywali się choć przez chwilę. Ale nie znamy źródła francuskiego, łącznie z aktami procesu w Riom, które by wskazywało na jakiś ślad przygotowań francuskich do tej ofensywy. Od samego początku wojny Francuzi kurczowo trzymali się linii Maginota i nadziei na pomoc brytyjską.

Przedstawicielom naszej wojskowości nie wolno było jednak podpisywać układu, dotyczącego życia i śmierci Polski, nie zbadawszy uprzednio wartości i realności obietnicy francuskiej. Przecież koła wojskowe francuskie, jak o tym wiemy z dziesiątków publikacji, nie ukrywały złego stanu francuskiej gotowości zbrojnej. Nie trzeba było być geniuszem, aby wyrozumieć, że Francuzi nie wyruszą na ofensywę bez pomocy brytyjskiej, a wiadomo jest, że Anglia nigdy nie jest gotowa do ofensywy w pierwszych tygodniach wojny.

Wynika z tej konwencji wojskowej, że wodzowie nasi mniemali, że siedemnastego dnia operacji wojennych będą mieli jeszcze nienaruszoną siłę zbrojną i stąd razem z Francuzami przewagę liczebną nad nieprzyjacielem, umożliwiającą wspólną ofensywę.

Cóż za dziecinady! Tak mogło być, gdyby Niemcy napadli na nas w 1933, kiedy marsz. Piłsudski życzył sobie wojny prewencyjnej. Ale nasi wodzowie wojskowi z tym rzekomo patriotycznym optymizmem, ojcem wszystkich naszych nieszczęść i katastrof, zamykali oczy na wszelkie zmiany, które już po śmierci marsz. Piłsudskiego zaszły w Niemczech i obaliły poprzedni stosunek sił pomiędzy Niemcami a Polską. Nie chciano nawet uznać, że skutkiem uzbrojenia Niemiec, Polska przestała być w Europie tym, czym była poprzednio. W 1933 Polska jest jeszcze państwem poważnym, ponieważ Niemcy są jeszcze niedostatecznie uzbrojone, w 1938 Polska już jest państwem małym, ponieważ jej stan uzbrojenia pozostał mniej więcej na miejscu, a obaj jej sąsiedzi znakomicie powiększyli swój potencjał wojenny. A jednak mieliśmy niezły wywiad w Niemczech, który w sposób wystarczający informował nasz sztab o wzroście potęgi niemieckiej w dziedzinie lotnictwa, broni motorowej i ogólnego potencjału wojennego. Na podstawie tych informacji każdy normalny, uczciwy, odpowiedzialny wojskowy zrozumiałby, że Polska nie jest w stanie walczyć z Niemcami przez dwa tygodnie.

Ale nasza góra wojskowa: marsz. Rydz i jego godne otoczenie, całość przygotowań wojennych ograniczyli do tego, co nazwijmy stosowaniem systemu Jogów. Kiedyś ze straganu jarmarcznego w małym miasteczku, spośród senników i innej literatury tego rodzaju, wybrałem książkę pt. „Tajemnice Jogów”. Dowiedziałem się z niej, że według nauki Jogów, wystarczy powtarzać sobie głośno: „nie jestem głodny”, aby móc odzwyczaić się od jedzenia w ogóle. Nasza wojskowość przed wojną 1939



Wrzesień 1939: Göring omawia z generalicją niemiecką plan ataku lotniczego na Polskę

także wszystkie swe przygotowania oparła na autosugestii. Nikomu nie pozwalali wątpić i co najgorsza sami nie wątpili, że jesteśmy: silni, zwarci, gotowi. Wszelkie obawy, wątpliwości, a nawet życzliwe rady w zakresie przygotowań wojennych uważane były za obrażę... honoru armii. Uważam, że wojskowy opierający swe przygotowania wojskowe na naiwnym samochwalstwie, powinien być w wojsku co najwyżej trębaczem, a nie oficerem z za biurka sztabu generalnego.

Kiedy byłem dzieckiem i miałem lat czternaście, pisałem referaty potępiające Chłopcickiego za małoduszność. Dziś, po makabrze generałów o duszach i gestach patetycznych aktorów..., lepiej rozumiem tego wodza powstania 1830 r. W wizjach Wyspiańskiego, w „Warszawiance”, w „Nocy Listopadowej” pojawia się Chłopcicki, dumny, wyniosły generał, pogardliwy, nieczuły w stosunku do otaczających go hasel i krzyków egoista, grający wciąż w karty. Postać Chłopcickiego wywoływała w nas bunt, że ten karciarz małodusznie gasił patriotyzm młodzieży chcącej wojny z Moskalami. Ale Chłopcicki istotnie grał i przegrywał w karty, ale przegrywał pieniądze, nie życie narodu. Wiedział, że są wartości, których dla gestu, dla oklasku, dla pozy, dla błazenady na kartę w grze hazardowej stawiać nie można, że nikczemnikiem jest wódz, który mając zaufanie całego narodu postawi na kartę i przegra dla błazeńskiego gestu. W 1830 sytuacja wojskowa Polski była o wiele lepsza niż w r. 1939... Powstanie listopadowe trwało przez dziesięć miesięcy, a nie przez dwa tygodnie i powstańcy odnieśli nad wrogiem szereg zwycięstw wspinał się. A jednak Chłopcicki, jako naprawdę dobry i odpowiedzialny wojskowy, od razu oświadczył, że wojnę z Moskalami przegramy i wziął dyktaturę, aby wojnie zapobiec. Gdy wskutek wygórowanych żądań cesarza Mikołaja I układy pomiędzy nim a Chłopcickim musiały ulec zerwaniu, Chłopcicki uznał, że nie może być wodzem wojny, którą przegra, bo byłoby to bałamuceniem nadziei narodu, niegodnym jego honoru wojskowego. Skoro jednak jego naród będzie się bić, więc i on będzie walczył jako obywatel, ale nie jako generał. Stąd znalazł się pod Olszynką Grochowską konno, w surducie cywilnym i bitwą wspaniale kierował. Pojmowanie honoru wojskowego przez Chłopcickiego było więc diametralnie przeciwstawne od pojmowania tegoż honoru przez Rydza i jego kompanów. Marsz. Rydz uważał, że jego honor wojskowy każe mu wszystkich oszukiwać, że jesteśmy gotowi. Chłopcicki — odwrotnie — uważał, że honor nie pozwalał mu na podejmowanie się prowadzenia wojny, której wygrać nie jest w stanie, tak jak dajmy na to uczciwy inżynier nie podejmie się budowy mostu kolejowego bez dostatecznych materiałów. Chłopcicki był inżynierem, a Rydz partaczem, który buduje most, który się wali i powoduje katastrofę.

### III

Celem tej książki będzie przedstawienie sprawy polskiej podczas wojny. Będzie to także historia naszego rządu na emigracji. W 1941 r. napisałem książkę, która miała się nazywać „Historią Niepodległej Polski”, ale którą wydawca wydał pt. „Historia Polski” przez co tytuł ten utracił swój akcent polityczny, twierdzący, że rządy na emigracji nie są już rządami niepodległego państwa. W rok później ukazała się moja książka o Becku pt. „O jedenastej — powiada aktor — sztuka jest skończona”, a w 1943 r. „Klucz do Piłsudskiego”. Książka niniejsza należy do tego samego cyklu studiów historycznych nad najnowszą historią Polski. Z góry oświadczam, że powtórzę w niej wiele z tego, co pisałem

dużą ilość wypadków czysto personalnych, które niewątpliwie dodadzą tylko rumieńców i życia interpretacji wydarzeń politycznych. Nie miałem najmniejszego wpływu na bieg wypadków politycznych ani w Polsce, ani na emigracji, nie umiałem nigdy zachowywać się tak, jak niektórzy cwaniacy na emigracji, którzy zebrawszy koło siebie dwóch lub trzech ludzi nikomu nieznanymi zaczynają twierdzić, że są secesją od jakiegoś „stronictwa”. Staralem się przekonać swe społeczeństwo nie za pomocą gry partyjnej, lecz argumentów — Polacy mnie czytali, ale nie byli mego zdania. W Polsce przed wojną dowodziłem: że Niemcy nas rozgromią w ciągu dwóch tygodni..., że wreszcie wypchnięci za granicę przestaniemy być podmiotem, a staniemy się tylko przedmiotem polityki międzynarodowej. Wszystkie te „krakania”, jak wtedy nazywano, sprawdzili się niestety tragicznie.

Na długo przed wojną rozpocząłem kampanię prasową w sprawie powiększenia budżetu wojskowego i broni motorowej. W innych społeczeństwach dziennikarz domagający się powiększenia wydatków na wojsko i nowych zbrojeń uchodzi za „militarystę”, u nas moje artykuły wywoływały największe oburzenie właśnie w prasie marsz. Rydza. Zostałem za nie osadzony w Berezie, na czas zresztą krótki.



Kwiecień 1939: na dworcu londyńskim witają przybywającego do Anglii Becka lord Halifax i hr. Raczynski

## SOJUSZ Z ANGLIĄ BYŁ SOJUSZEM EGZOTYCZNYM

Odwoluję się tutaj do swojej teorii o sojuszach egzotycznych.

Jeśli utrata niepodległości przez jakieś państwo pociąga utratę niepodległości innego państwa, to sojusz pomiędzy tymi dwoma państwami jest sojuszem naturalnym, wskazanym.

Zilustrujemy teorię o sojuszach egzotycznych przykładem z dziedziny gospodarczej. Ktoś jest kupcem w małym polskim miasteczku... Jeśli w tym miasteczku każdy mu daje kredyt, to nic dziwnego, że uzyska kredyt w bankach warszawskich, a jeśli Warszawa otwiera mu kredyt, to możliwe, że otrzyma kredyt w Londynie lub Paryżu. Oczywiście cały ten przykład obraca się w warunkach powojennego świata kapitalistyczno-liberalnego. Ale co powiemy o obywatelu miasteczka, któremu nikt w jego miasteczku nie zawierzy 100 zł, a który raptem dyskontuje swe weksle w Londynie, czy Jokohamie. Będziemy oczywiście sądzili, że interesy tego gościa są niepodobne do normalnych interesów handlowych, że dyskonta tak odległe nie mogą wpływać z normalnych interesów handlowych i że nie wróżymy im stałości czy solidności.

Kredyty pieniężne, tak jak sojusze polityczne, mają zawsze właściwą proporcję do przedsiębiorstwa, które kredytów żąda, lub państwa, które o sojusz zabiega. Tak samo kredyt zbyt duży dany przedsiębiorstwu zbyt małemu, jak sojusz ofiarowany państwu słabszemu czy odległemu, powinien budzić wątpliwości, czy istotnie jest tym, czym się nazywa, a nie czymś innym.

Sojusz polsko-angielski przez Anglików nam nagle zaofiarowany w początkach roku 1939 był typowym sojuszem egzotycznym. Utrata niepodległości przez Polskę bynajmniej nie pociąga za sobą utraty niepodległości Anglii. Przeciwnie, w XIX w. nie było państwa polskiego, a dla Anglii były to czasy rozwoju i potęgi. Anglia interesowała się Polską nader rzadko i zawsze jedynie dla celów doraźnych i przemijających. W końcu XVIII w. Pitt chciał stworzyć koalicję antyrosyjską, do której miała wejść Anglia, Prusy, Polska. Polska zaangażowała się w tej kombinacji; tymczasem koncepcje Pitta zostały obalone w Londynie przez posła Katarzyny, Woroncowa i z całej pittowskiej kombinacji pozostała tylko wojna

polsko-rosyjska, w której Polska została po-  
bita.

W r. 1878, w czasie wojny rosyjsko-tureckiej, Anglia broniła Turków i nie chciała Rosji dopuścić do Konstantynopola. Gotowa więc była wywołać, subsydiować, popierać pieniądze i przesyłać broni powstanie Polski, które by odciągnęło pewną ilość sił rosyjskich od tureckiego teatru wojny. Dla pertraktacji z rządem angielskim powstał we Lwowie rząd narodowy polski z ks. Sapiehy na czele. Rząd ten jednak miał więcej rozumu od Rydza z Beckiem, żądał gwarancji solidniejszych, nie uzyskał ich i wycofał się z kombinacji.

Sojusze egzotyczne mogą być doskonałym uzupełnieniem systemu bezpieczeństwa danego państwa, nigdy jednak nie mogą mu zastąpić systemu bezpieczeństwa wynikającego bądź z sił własnych, bądź z sojuszków naturalnych.

#### POLACY UPRAWIAJĄCY PROPAGANDĘ NIEZGODNĄ Z INTERESAMI POLSKI

I

Kto kogo wciągnął w wojnę — Anglia Pol-  
ską, czy Polska Anglię?

Od rozstrzygnięcia tego pytania dużo zale-  
ży. Jeśli Anglia Polskę, to Anglia ma obo-  
wiązek moralny wyrównać nam straty, któ-  
reśmy w tej wojnie ponieśli. Jeśli Polska  
Anglię, to możemy być Anglikom tylko  
wdzięczni, że nas przez pewien czas bronili.

— Jaka jest prawda historyczna?

— Oczywiście, że Anglia Polskę.

...Jak to widać chociażby z depezy angiel-  
skiego ambasadora, Sir Howarda Kennarda,  
z 2 kwietnia 1935 o treści jednej z ostatnich  
rozmów z umierającym marszałkiem, Piłsud-  
ski zalecał Beckowi politykę neutralności  
w stosunku do konfliktów wielkich mocarstw,  
ale Beck najzupełniej opacznie rozumiał sło-  
wa swego mistrza i oto w czasie kryzysu cze-  
skiego i Monachium w 1938 r. nie tylko nie  
cieszy się, że nas mija wielki wiatr niosący  
burzę, lecz przeciwnie, powodowany chłopcą  
chępliwością, stara się o udział Polski w za-  
mieszaniu międzynarodowym, pchając Polskę  
na Czechy. Wyobraża sobie zapewne, że speł-  
nia zapowiedź marszałka z 1914 r. „aby pol-  
skiej szabli nie zabrakło“, podczas gdy nie  
rozumiał bliższych tej sytuacji przestroż  
Piłsudskiego: „Wy beze mnie w wojnę nie  
leżcie, wy ją beze mnie przegracie“. Swoim  
zachowaniem się w czasie kryzysu czeskiego  
klóci nas Beck jednocześnie z opinią Zachodu  
i z Hitlerem. Ten ostatni nie wie, co o nas  
myśleć i oto w styczniu 1939 żąda od Becka  
w Berchtesgaden wyrażonej odpowiedzi na  
pytanie: „Czy idziecie z Niemcami, czy z Ro-  
sją?“. Hitler twierdzi, że woli współpracę  
z Polską, ale jeśli Polska mu odmówi, to pójdzie  
z Rosją. Przecież już na Nowy Rok Hitler  
podszedł do ambasadora sowieckiego i roz-  
mawiał z nim, wbrew dotychczasowym swoim  
zwyczajom. Po odpowiedzi ostateczną przy-  
jeżdża do Warszawy Ribbentrop 26 stycznia  
1939 r. Chce on wyciągnąć od Polaków obiet-  
nicę, że pozostaną neutralni w razie ataku  
Niemiec na Zachód. Polska tej obietnicy nie  
daje.

I oto po wyjeździe Ribbentropa z War-  
szawy spada nam na głowę propozycja gwa-  
rancji niepodległości Polski przez Anglię...

Podzielać zresztą całkowicie sympatie me-  
go narodu do narodu i ustroju angielskiego,  
z tym zastrzeżeniem, że rządzenie się sym-  
patiami w grze międzynarodowej jest zazwy-  
czaj zgubne. Gwarancje niepodległości zosta-  
ły nam udzielone w formie przemówienia pre-  
miera Chamberlaina w Izbie Gmin 31 marca  
1939. Premier Chamberlain oświadcza wtedy,  
że „w razie działań jakichkolwiek, które by  
zagroziły niepodległości polskiej... rząd Jego  
Królewskiej Mości będzie się czuł zobowiąza-  
ny do dania pomocy Polsce wszystkimi środ-  
kami i, którymi będzie rozporządzał.

Jakże inaczej brzmią te słowa od ostrych  
wyrażeń paktu z 25 sierpnia 1939, podpisanego  
kilka miesięcy później, gdy już konflikt  
niemiecko-polski stał się nieodwracalny.

Gwarancja angielska, jako skutek natych-  
miastowy, miała zwrócić całą złość Hit-  
lera na nas. Jeśli Beck myślał, że przyjęciem  
gwarancji angielskich odstraszy Hitlera od  
napaści na nas, to się zupełnie pomylił. Beck  
rozumiał, że wojna jest postanowiona, że po-  
lityczne i gospodarcze konsekwencje hitle-  
ryzmu muszą wywołać starcie z Anglią i że  
chodzi teraz tylko o to, od kogo Hitler zacze-  
nie. Gdyby nie owe tragiczne gwarancje an-  
gielskie, wojna z wszelką pewnością zaczęła-  
by się nie od nas; z chwilą ich wygłoszenia  
napaść w pierwszej linii na Polskę jest prze-  
sądzona. Posunięcie angielskie w sprawie  
gwarancji angielskich (później niedotrzyma-  
nych) było dyplomatycznie znakomite, nada-  
wało ono agresji Hitlera ten kierunek, którego  
Anglia sobie życzyła.

My jednak „silni, zwarci, gotowi“, brniemy  
na oślep ku katastrofie, podczas gdy gwaranc-  
je angielskie... tonieją z miesiąca na miesiąc  
i wyrażają się wreszcie w przeddzień kata-  
strofy w formie układu z 25 sierpnia 1939.  
W którym nie ma już mowy o gwarancji nie-  
podległości, a tylko... skromne zobowiązanie  
o niezawieraniu z państwem „trzecim“ ukła-  
du, którego wykonanie naruszałoby polską  
integralność terytorialną i suwerenność pań-

stwowa... zobowiązanie... z traskiem złamane  
przez Anglię w Jałcie 12 lutego 1945 r.

Na podstawie więc powyższego schematu  
wypadków (których rozwinięcie, jak już wspo-  
minałem, znajdzie czytelnik w mej książce  
o Becku) można skonstatować, że nie my An-  
glię, lecz Anglia nas wprowadziła do wojny  
z Niemcami.

Otóż ta korzystna dla nas okoliczność była  
całkowicie przekreślona i odwracana przez...  
rządy polskie na emigracji, przez polską pro-  
pagandę, przez prasę wydawaną za granicą  
przez polskie czynniki oficjalne. Według tej,  
które swoim i obcym klaruje nasza własna  
polska propaganda, sprawa przedstawiała się  
następująco:

— Polska miała nikczemnego ministra Bec-  
ka, sługusa Niemiec, wobec czego Hitler na-  
padł na Polskę. — Polska propaganda na emi-  
gracji nie wyjaśnia zresztą nigdy w należyty  
sposób związku przyczynowego pomiędzy tym,  
że Beck wysługiwał się Hitlerowi, a tym, że  
Hitler napadł na Polskę. Na szczęście jednak  
braterska Francja i hipertruiistyczna Anglia  
zaczęły nas ratować. Niestety w braterskiej  
Francji po pewnym czasie wzięły górę pro-  
hitlerowskie świnię, jak Pétain i Laval, ale  
altruizm angielski trwa nadal. Wszystko bez  
Quislingów, bo to zniechęci automatycznie  
Anglię do dalszego ratowania nas, jako do-  
wód naszej niewdzięczności. Ważne jest tak-  
że, abyśmy przekonali świat, że to my sami,  
bez namowy i pomocy Anglii i Francji, zde-  
cydowaliśmy się na danie oporu Hitlerowi,  
bo to powiększa podziw świata dla naszego  
bohaterstwa, a przecież ten podziw jest przy-  
czyną wybuchu tej wojny, która jest wojną  
toczoną w obronie polskiej wolności i niepod-  
ległości.

Ile zamaszty energii wkładali urzędnicy  
naszej propagandy, aby w latach 1940—1943  
przekonać nieświadomych Anglików jak  
Niemcy są okrutni i jakie niebezpieczeństwo

ARTUR SANDAUER

## Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

Dr Henryk Jassym zdjął przymglone oku-  
lary, dmuchnął na nie i przetarł chusteczką;  
oznaka zadowolenia. Ołbrzymia sala, na wprost  
przedzielona drewnianą barierą i ume-  
blowana dwiema szafami oraz stojącym na  
podium koślawym stołem i krzesłem, była od-  
dawna nie opalana. Szpary podłogi wiły chłod-  
dem; przez oszronione szyby sączył się świt  
lutowy. Dr Jassym czuł się w doskonałym  
nastroju do pracy. Właśnie przed chwilą  
otrzymał najświeższe dane z trupiarni. Nie  
ciekawego zresztą; jakieś pięć kartotek do  
załatwienia. Przyczyna nie podana. A więc,  
jak zwykle, puchłina głodowa albo tyfus.  
Trzeba jednak przyznać, że ta trupiarnia  
urzęduje, że palce liżać — dr Henryk pokrę-  
cił z uznaniem głową. — Już o ósmej przy-  
syłają świadectwa zgonów. W istocie, w istocie,  
trzeba przyznać... Dzień rozpoczyna się  
nienajgorzej. Zajrzał do zeszytu statystycz-  
nego, gdzie zapisywał codzienny stan ludno-  
ści. Wczoraj było 10 005, a dzisiaj — o dziwo!  
równych 10 000. Rzadko się zdarza cyfra tak  
okrągła, tak przyjemna w dotyku: cztery ze-  
ra i samotna jedynka. Zero jest o wiele mi-  
lsze w pisaniu niż inne cyfry: cieniowany  
brzuszek, a w środku zakrętas. Gdyby nie  
początkowa jedynka, można by napisać pięć  
równych zer. Az przyjemnie pomyśleć. No, ale  
dość marzeń na dzisiaj! Do roboty, do dzieła!

A pracy jest masa: zanotować świadectwa  
zgonu, otrzymane z trupiarni, w zeszytach  
pism przychodzących; wyszukać pięć karto-  
tek i, złaczywszy je spinaczami z odpowie-  
dnim dowodem śmierci, przenieść z wątleją-  
cej wciąż szafy żywych do pęcznej szafy  
umarłych; wnet już nie starczy w niej  
miejsca; trzeba zawczasu zamówić drugą u  
stolarza. Następnie — dr Henryk zagina palce  
u lewej ręki — wystosujemy trzy pisem-  
ka: pierwsze — do urzędu mieszkaniowego,  
by wykreślonej kartotece odebrać prawo do  
zajmowania lokalu; drugie — do biura pracy,  
aby jej nie wzywać niepotrzebnie do przy-  
musowych robót; trzecie i ostatnie — do wy-  
działu gospodarczego, by jej cofnąć przy-  
dział 10 dkg chleba dziennie. Pisma powyż-  
sze zanotować w zeszytach odchodzących, wy-  
słać przez gońca i dopilnować, dopilnować  
potwierdzenia odbioru. Zdarzają się bo-  
wiem przykre, choć w pewnym sensie dow-  
cipne wypadki: tak np. jeden ze zmarłych  
pobierał kartki chlebowe i chodził do przy-  
musowej pracy jeszcze w dwa tygodnie po  
swoim wykreśleniu. Jak to się stało, nie wi-  
adomo. Bo chleb mogła podejmować za niego  
rodzina; ale ktoś by chodził za niego na ro-  
botę? Ileż się dr Henryk nie naszperał wtedy  
w przychodzących i odchodzących! Na pró-  
żno! Zmarły uniósł do grobu sekret swych  
pośmiertnych przydziałów! Tajemnica pozostanie  
niewyjaśniona na zawsze!

No, ale dość rojeń! A więc trzy wyżej wy-  
mienione pisemka wystylizujemy, wynotuje-  
my i wysłamy przez gońca. A potem, po-  
tem — jeśli starczy czasu — ale to tylko  
w ramach własnej inicjatywy i niejako bez-  
interesownie — przeliczymy własnoręcznie  
kartoteki, by się przekonać naocznie, czy ich

przedstawiają dla Anglii. Doprawdy rozczula-  
jący był ten wysiłek, te stopy, stęgi broszur  
i książek z obrazkami i bez obrazków, które  
miały Anglików jednocześnie rozczulić i po-  
uczyć. Bomby niemieckie waliły się na Lon-  
dyn i rozwały to miasto, okręty angielskie  
tonęły na morzach, imperium angielskie trze-  
szczało w zawiasach i spojeniach, a nasi po-  
cziewi panowie z propagandy za guzik chy-  
wali Anglików, aby im dowiedzieć, że Niemcy są  
okrutni i niebezpieczni. Nawet powien ma-  
kiawelizm nie był obcy naszym geniuszom  
propagandy. „Nie wystarczy wykazać, że  
Niemcy są okrutni wobec Polaków, trzeba je-  
szcze Anglikom wyperswadować, że Niemcy  
są niebezpieczni także dla Anglii“ — powi-  
dał sobie w okresie, gdy flota niemiecka  
przejeżdżała przez Pas de Calais, niedaleko  
samego Londynu.

W 1942, w którejś z moich broszur, wy-  
raziłem się, że Anglia prowadzi tę wojnę we  
własnym interesie. Wywołało to oburzenie ro-  
daków, zdaniem których Anglia prowadziła  
wojnę w obronie Polski. Gorzej! Antoni Sło-  
niewski, znany autor dramatycznych i poe-  
ta, o którym zresztą nieraz będę miał okazję po-  
niżej wspomnieć, napadł na samego ministra  
Strońskiego na jednej z konferencji pras-  
owych, gdy ten ośmielił się coś wspomnieć  
o interesach mocarstw czy też interesach  
Anglii. Słoniewskiego oburzał ten sposób my-  
ślenia. Zdaniem jego, ta wojna jest czymś zu-  
pełnie innym od wszystkich wojen poprzed-  
nich. W tej wojnie nie grają niczyje interesy  
państwowe, a wyłącznie wielkie ideały.

Dnia 1 września 1944 generał Kazimierz  
Sosnkowski, Hamlet polski, lecz człowiek  
o dużej inteligencji, wydał rozkaz do wojska  
zaczynający się od słów:

„Żołnierze Armii Krajowej!

Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska, wysłu-  
chawszy zachęty rządu brytyjskiego i otrzy-  
mawszy jego gwarancje, stanęła do samotnej  
walki z potęgą niemiecką...“

Wyrazy te obrazowały istotny przebieg wy-  
padków. Rząd p. Mikołajczyka, ba! opinia  
emigracyjnego społeczeństwa, uznała je za  
„pomniejszenie naszego wkładu do wojny“.  
Słyszałem wielu Piłsudczyków podziwiających  
ten idiotyczny pogląd...

...Rząd p. Mikołajczyka zażądał od Prezy-  
denta ustąpienia gen. Sosnkowskiego ze sta-  
nowiska naczelnego wodza i uzyskał to.

Takie są zawsze dzieje obcych agentur, me-  
tody prowokacji. Pierwej podnieca się uczu-  
cia ambicji i dumy narodowej, potem gra się  
nimi przeciw interesom danego narodu. W Pol-  
sce, gdzie miłość Ojczyzny jest szczerą i dużą,  
chępliwość uczuć również nie mała, a zmysł  
polityczny rzeczą rzadką, lub nieznaną, tego  
rodzaju metody prowokacyjne udają się  
świetnie.

II

Zwolennicy ministra Becka także odpowia-  
dali źle na pytanie, czy do wojny wciągnęła  
Anglia Polskę, czy też Polska Anglię. Twier-  
dzili, że zasługą ministra Becka jest, iż wojna  
wybuchła w obronie Polski i porównując Becka  
z Benesem, utrzymywali, że Benes nie po-  
trafił wywołać konfliktu zbrojnego w obro-  
nie Czech, a Beck dokonał tego w obronie  
Polski.

Całe to rozumowanie jest nic niewarte.  
Spreżyny, które wprowadziły w ruch wojnę  
światową, tkwiły poza zasięgiem rąk pułkowni-  
ka Becka. Zarówno Czechy, jak Polska mo-  
gły być pretekstem do wybuchu tej wojny,  
ale nie jej przyczyną istotną. Wojnę spowo-  
dowała obawa Anglii przed supremacją Nie-  
miec oraz obawa Niemiec przed angielskim  
„okrażeniem“. Przyczyny wybuchu wojny  
w 1939 były więc bardzo zbliżone do tych,  
które wywołały wojnę 1914 roku, chociaż  
wtedy nie było ani państwa czeskiego, ani  
państwa polskiego.

Stanisław Mackiewicz (Café)

trzeciej tysiączki, gdy usłyszał w pobliżu  
ciężkie i dość niedołężne stapanie. Dr Hen-  
ryk bardzo nie lubił, by mu przeszkadzano  
w pracy. Toteż nie bez oburzenia spojrzął na  
postać, która — dla współczesnego czytelnika  
może dość dziwna — dla niego była jedną  
z najpowszejdniejszych. Obuta w słomiane  
chodaki, odziana w przepasaną sznurom koł-  
drę, z oczyma zgubionymi wśród napuchłych  
powiek — weszła na podium w sposób dość  
oryginalny, podnosząc oboma rękami nogę  
w kolanie, po czym oparła się ciężko o stół.

— Pan sobie życzy...? — spytał dr Henryk  
po chwili, doliczywszy setkę do końca i od-  
kładając plik kartotek na bok.

— Ja sobie życzę, żeby pan doktor był ła-  
skaw zrobić mi grzeczność.

— Jaką grzeczność? Proszę się nie zbliżać  
do stołu. — Dr Henryk żył w rozumiałym  
łuku przed wższymi zakaznymi.

— Wystawić mi kartkę do Arbeitsamtu, że  
ja żyję.

— Jak to — że pan żyje? A ktoś panu mó-  
wi, że pan umarł?

— Pan doktor mówi. Pan doktor wysłał  
przed godziną kartkę do Arbeitsamtu, żeby  
mnie skreślić z listy pracujących.

— A na jakie nazwisko opiewało to pismo?

— Na jakie nazwisko opie...? Nie rozumiem,  
panie doktorze.

— Jak się pan nazywa, pytam.

— Józef Grad.

— Co? Pan się nazywa...?

— Tak. Ja się nazywam.

— Panie, co mi pan zrobił? Przez pana  
falszerstwo popełniłem, dwadzieścia lat pro-  
kurentem byłem. Wszystko się co do joty  
zgadzało, stary Fliternik mówił: „Takiego  
prokurenta, jak dr Jassym, to ze świecą szu-  
kać“. Dzisiaj pierwszy raz w życiu przez  
pana fikcyjną kartotekę wystawiłem, a pan  
mnie chce wmówić, że pan żyje. Widzi pan,  
tu są dowody — dr Henryk podbiegł do sza-  
fy zmarłych i latającymi ze wzburzenia pal-  
cami wyjął kartoteki obu Gradów. — Pier-  
wszy raz pan umarł 14 grudnia ub. r. na tyfus,  
a drugi raz wczoraj, 16 lutego br. — przyczy-  
na nie podana. Dla mnie pan nie istnieje, roz-  
umie pan?

— To może ktoś inny umarł, co się ta-  
samo nazywał?

— Nie, panie, trzeci raz pan mnie nie na-  
bierze. Niech się pan nie opiera o stół. Jak  
się nazywał pański ojciec?

— No, Leon.

— Właśnie. A mieszka pan?

— Przy...

— No?

— Przy Mydlarskiej.

— No, właśnie. A chce pan wmówić, że to  
nie pan umarł.

— Ale ja żyję.

— No, i co z tego, że pan żyje, kiedy ja  
dwa razy po trzy pisma wystosowałem do  
wydziałów, razem sześć pism, stwierdzają-  
cych pańską śmierć? To się nie da cofnąć.

— No, jak tak, to widzę, że już będę mu-  
siał panu doktorowi wszystko powiedzieć.  
Jak była rejestracja na chleb, to ja się za-

meldowałem dwa razy — raz z ojcem, a raz z dziećmi, żeby trochę więcej chleba dla nich wydestać. Ale potem Arbeitsamt zaczął wszystkich wołać trzy razy na tydzień do roboty, a mnie sześć razy, bo myślał, że ja jestem dwóch. No to ja musiałem pierwszy raz umrzeć, bo skąd ja mam siłę przez cały tydzień na Niemców ciężko pracować? A w zeszłym tygodniu tak opadłem z sił, tak opadłem, że całkiem już tych desek na budowę dźwigać nie mogłem. A jeszcze, jak mnie ten garbaty Myrdzio, pan go zna?

— Nie znam żadnego Myrdzia.

— Pan go musi znać. Ten, co dawniej kanalarzem był, na Kapielowej mieszka, za mostem koło reżni.

— Nic nie wiem o żadnym kanalarzu.

— Pan go z pewnością dobrze zna, tylko pan nie pamięta. On teraz za Volksdeutscha u Niemców służy! No to jak on mnie tak zbił cztery dni temu, że mało trupem na miejscu nie padłem, to ja sobie myślę, wolę z głodu zdychać, niż od takiego Myrdzia znosić. I umarłem drugi raz.

— A trupa skąd pan wzięł?

— Ja mam takiego kuzyna, co w trupiarni wszystko może. Ale teraz się pokazuje, że źle zrobiłem, bo dziś rano mówili na mieście, że wszystkich, co nie pracują, mają brać do lagrów. Kto ich wie? Po nich wszystkiego się można spodziewać.

— Co pan wygaduje? Co to za sianie paniki? Jeszcze nikt nigdy nie wywoził ludności cywilnej do obozów. Pan tylko porządek zakłóca swoimi...

— Ja pana bardzo proszę, panie doktorze, żeby pan mnie ten jeden raz z powrotem zameldował. Przecież jesteśmy swoi. Ja nie chcę za darmo... Sprzedam coś...

Petent wpija się błagalnymi palcami w rękaw dr Jassyma.

— Co? Mnie? Mnie pan proponuje łapówkę? Mnie, staremu urzędnikowi firmy Fiternik i Ska z ograniczoną odpowiedzialnością? Proszę puścić!

Dr Henryk wyrzywa rękę z uścisku petenta i z rozmachem trafia go w nieogoloną policzkę. Efekt jest momentalny: i tak niezbyt pewnie trzymający się na nogach osobnik wali się jak długi z podium na podłogę. Dr Henryk stoi zaskoczony, strzepując nerwowo lewą dłonią rękaw płaszczka, podczas gdy tamten dźwiga się powoli na rękach z podłogi. Przez chwilę spogląda, milcząc, na dr Jassyma, po czym kieruje się niedołężnie ku wyjściu. W progu jeszcze raz odwraca się i, kiwając głową, powtarza trzykrotnie:

— Liczytrupa... liczytrupa... liczytrupa...

Dr Henryk zdejmując pośpiesznie płaszcz i marynarkę, zastanawia się przez chwilę i w nagłym porwywie, mimo mrozu, ściga również kamizelkę. Wszystko to wytrząsa stannem, po czym przeciera okulary i z powrotem zasiada do liczenia kartotek.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, podczas których wiele się działo poza biurem ewidencji: z drzew strzelały paki, z armat — pociski, pola wybuchały minami i zielenią. Dr Jassym nie zasypiał zresztą również gruszek w popiele. Zbliżał się przednówek i świąteczna zgonów płynęły niewstrzymaną — iście wiosenną powodzią. Pracy było tak dużo, iż — nie bacząc na powagę urzędu — zrzucił niejednokrotnie marynarkę i z zakasnymi rękawami koszułi przyjmował i wysyłał pisma, kreślił, notował i liczył. Zdobycie jeszcze jednej szafy pozwoliło mu na dalsze ulepszenia: tak np. założył trzy nowe działy, z których pierwszy obejmował zaginionych bez wieści, drugi — wywiezionych do obozów pracy, ostatni wreszcie — przyjezdnych. Instrument jego wzbogacił się tym samym o całą gamę tonów, o możliwości nieznanych dotąd kombinacji i połączeń. Widząc go, jak błyskawicznie wyciągał i zatrząskiwał szufłady, jak wychwytywał i w mig przerywał kartoteki, czyniąc na nich w locie precyzyjne signum, czuło się dojrzałego, pewnego swych środków i celów artystę.

Z biura wychodził teraz coraz później i bywało, że, ogarnięty nagłym niepokojem, zawracał w pół drogi, by, przebiegłszy wyludnionymi się pod wieczór ulicami, sprawdzić pośpiesznie hieroglificzną notatkę w jednym z zeszytów. Wówczas dopiero, uspokojony, szedł do domu na skąpą wieczerę. Nie uszło jednak ogólnej uwadze, że — mimo oczywistego przy tak nieskazitelnej uczciwości braku jakichkolwiek bocznych dochodów — dr Jassym przybrał w okresie tym na wadze już to na skutek siedzącego trybu życia — już to innych mniej jasných przyczyn. Nie bez znaczenia był tu zapewne i ów, iście stołki, spokój, z jakim przyjmował nowe, coraz sroższe zarządzenia niemieckie oraz coraz bardziej paniczne pogłoski. Gdy mówiono o przygotowującym się nakazie opuszczenia dotychczasowych mieszkań, wruszał ramionami:

— Skąd mnie wypędzą? Z mojej sublokatorkiej ciupki? Przenieść się tutaj i jeszcze lepiej mi będzie.

I w istocie — nie czekając na odnośne rozporządzenie — dr Jassym, wyprosiwszy w magazynie Rady składane łóżko i materac, zamieszkał się w biurze i to tak niepozornie, że ani na śnie, ani na gołeniu, ani na jakiegokolwiek innej czynności toaletowej żaden z współpracowników — mimo wielokrotnych usiłowań — nigdy go nie mógł przyłapać.

Raz tylko — była ciepła noc sierpniowa, muchy, zasypiając, bzykały na suficie i cmy tłuły się ciężko o ściany — gość nagły zastał go nieubranego. Był nim dr Herbert Kirsche, niegdyś mecenas i autor poczytnego studium o Anatolu France, obecnie prezes Rady, który wszedł do biura ewidencji na palcach i, nim przymknął drzwi, rozejrzał się kilkakrotnie po korytarzu.

— Pan...nie pracuje? — zagadnął na chybił-trafił gospodarza, który podniósłszy się z łóżka poprawiał pośpiesznie garderobę.

— Rzeczywiście, pozwoleń sobie odłożyć resztę pracy na dzień jutrzejszy. Może pan być spokojny, panie prezesie, drobne zaległości w dziale przyjezdnych będą w najbliższym czasie...

— O tym potem. Rozumie pan, że jeśli ja sam o tak późnej porze przyszedłem do biura, to nie po to, aby kontrolować dział przyjezdnych. Chodzi tu o spis...

— Spis robotników drzewnych dla firmy „Hoch- und Tiefbau“? Pan prezes zażądał go ode mnie dopiero dziś czy raczej — dr Jassym spojrział na zegarek; było 15 po dwunastej — wczoraj po południu i nie zdażyłem...

— Pan pozwoli... Mam na myśli co innego...

— Ach, rozumiem, spis małżeństw, które w związku z przewidywaną kontrybucją mają złożyć obywateli ślubne. Napotykać tu na pewne trudności, wynikające z nie dość ściśle określonych w pańskim zarządzeniu pojęć prawnych. Rozporządzenie to nie ustala mianowicie, czy pary, żyjące w związku rytualnym, nie przeprowadzonym w aktach stanu cywilnego, należy uważać za legalne stađa, czy też za rodzaj konkubinatu. W tym drugim wypadku nie byłyby one obowiązane do oddania obrączek, zwłaszcza, że nie zawsze...

— Ależ, doktorze, nie dojdziemy nigdy do porozumienia, jeśli pan będzie mi co słowo przerywał. Nad miastem wisi czy raczej wisiła tej nocy katastrofa, której jedynie dzięki mojej zręczności udało się częściowo zapobiec...

— Rozumiem, panie prezesie, więc ten spis?...

— Niczego pan nie zrozumie, póki pan nie wysłucha. O godzinie 9-tej, kiedy zbierałem się już do domu, zajeżdża do mnie Gabriel, błady, zmieniony. Oczywiście, natychmiast wódka, zakąski. Próbuje nawiązać z nim rozmowę: nie idzie. Dopiero po piątym czy szóstym kieliszku podnosi mi oczy i powiada: „Rozkaz jest rozkazem”. „Jaki rozkaz?” — mówię. Nie zapytałem się, oczywiście, tak bezpośrednio, jak teraz, lecz uciekłem się do pewnych dyplomatycznych chwytów, których nie będę przytaczał. „Ilu was jest?” — pyta. „Okolo 7 000”. „Otóż na jutro potrzeba mi właśnie połowy, 3 500 ludzi”. „W jakim celu?” — pytam — oczywiście w sposób dyplomatyczny. „Dla przesiedlenia — powiada — jeśli pana to wyrażenie zbytnio nie razi”. „3500 ludzi do przesiedlenia!” — zawołałem — Nigdy! Chyba po moim trupie!” — Nie powiedziałem tego, rzecz jasna, dosłownie, ale wynikało to mniej więcej z sensu mojej wypowiedzi. „Trudno — odpowiada z wyszukaną grzecznością — jeśli pan nie może mi pomóc, to damy sobie radę sami — z tą tylko różnicą, że zginie przy tym sporo ludzi i że nie będę mógł ręczyć za niczyje bezpieczeństwo. Daję panu okazję, którą pan może przyjąć lub odrzucić”. „Nie może pan jednak wymagać — mówię — abym ja, głowa tego miasta, współpracował przy jego niszczeniu”. „Właśnie daję panu możliwość obrony jednej połowy”.

Kiedy wypowiedział to słowo „obrona”, zaświtał mi w głowie pewien pomysł, którego by się nie powstydził najznakomitsi prawnicy krajowi i zagraniczni. „Bronić — powiadam — jest moim naturalnym obowiązkiem tak z racji mojej obecnej funkcji, jak i dawnego zawodu. Jeśliżby już się zgodził na doręczenie panu jakiegokolwiek spisu, to mógłby on — niestety, wbrew pańskiemu żądaniu — zawierać tylko nazwiska tych ludzi, na których życiu to jest... raczej... pozostaniu na dawnym miejscu zamieszkania szczególnie mi zależy”.

No, więc on... O czym to chciałem mówić? Aha! Chciałem powiedzieć, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ryzykowne były moje słowa. „Czy pan kpi ze mnie?” — zawołał. Nie kpię — odparłem — ale wybieram jedyne wyjście, zgodne z moim stanowiskiem i godnością osobistą. I czy pan uwierzy, że moja odwaga mu w końcu zaimponowała? Być może podziała tu również pewna swada, jaką udało mi się rozwinąć przy wyluszczeniu kierujących mną motywów. „Niech i tak będzie! — zgodził się w końcu — jakkolwiek komplikuje pan niepotrzebnie rzecz w istocie zupełnie prostą. Będzie pan mi jednak musiał dać ludzi, którzy pójdą z policją i wskażą, kogo pan chce oszczędzić. Więc do jutra”.

W ten sposób udało mi się uratować 3 500 ludzi od wysiedlenia.

— Mam zatem do jutra, panie prezesie, sporządzić spis ludzi, nie podlegających wysiedleniu?

— Tak, do godziny 1-szej.

— Niezbyt dokładnie rozumiem, na jakiej zasadzie mam się oprzeć przy...

— Na jakiej zasadzie? Pan jeszcze pyta?

Rzecz jasna, że na wartości moralnej i społecznej użyteczności.

— Ależ ja nie mam takiej rubryki u siebie. Niech pan spojrzy, panie prezesie: wiek, zawód, stan cywilny, adres, ale o moralności — ani słowa. Nie mogę przecie w ciągu jednej nocy, nie posiadając żadnych danych, stworzyć nowej klasyfikacji. Chyba... żeby za społecznie użyteczne uważać te zawody, które w obecnej chwili są bardziej od innych potrzebne, jak np. rzeźników, piekarzy, urzędników, grabarzy...

— Pan się nie może wyzbyc schematów, których zawsze byłem i nadal pozostaję najzaciętszym przeciwnikiem. Szczególnie w sprawie tak poważnej jak obecna należy się wystrzegać stereotypowych formułek: chodzi tu przecie nie o bagatelę, lecz o ocalenie 3 500 żywotów ludzkich przed wysiedleniem.

— Ależ jakże ja mogę decydować, kto nie ma być wysiedlony, kiedy nawet dziesiątej części nie znam osobiście.

— To nie jest zasadnicza trudność. Nie świeci garnki lepią: wybierzemy tych, których mniej lub więcej znamy. Proszę wyciągnąć skrzynki. Czy te drzwi zamykają się na klucz?

Już światło elektryczne blednie i w drzewach podokiennych rozlega się świergot przedranny, podkreślający ciszę pustych ulic i różowiejących domków. Dochodzi piąta. Monotonne dyktando prezesa nabiera tempa; wieczone pióro dr. Henryka cwałuje po papierze. Lista obejmuje dotychczas zaledwie 2 000 pozycji. Trzeba się spieszyć. Każde dodatkowe nazwisko ratuje kogoś od zmiany adresu. Stwierdziwszy, że zbyt surową przeprowadzili poprzednio selekcję, przerzucają od nowa skrzynki, szukając jakichkolwiek, choćby raz zasłyszanych, nazwisk.

— Katzenellenbogen Maurycy, ul. Wszystkich Świętych 17? — rzuca dr Kirsche pytająco.

— To brzmi rozwlekłe — mówi spoufalcony całonocną pracą dr Henryk. — Musi pan dobiec, panie prezesie, krótsze nazwiska np. Schmidt, Fąk itp. Tak czy owak nie zdołamy wypełnić kontyngentu, a taki długi zabiera miejsce, tj. czas, dwum krótkim...

Promienie wschodzącego słońca padają na papier, po którym biegnie niezamordowane pióro dr. Henryka. Brzęczenie budzących się na suficie much potężnie, rozbrzmiewa jak wzywająca na Sąd trąba archanielska, przechodzi w warkot. Zajeżdżają. Na korytarzu słychać podkute kroki.

Było sobotnie popołudnie. Przez ulice, zasiane odłamkami szkła i puste, przemyczał się czasem chyłkiem samotny przechodzień, by zniknąć pośpiesznie w jednej z wilgotnych sieni. Z okien biura ewidencji widok otwierał się na nieogrodzone drutami miasto, falami will i sadów odchodzące ku wieczornej rzece. Brzęczały muchy. Chwilami, jakby licząc własne parkiety, skrzybiało wyschłe drewno podłogi.

Zatopiony w gorejącym popołudniu i w rachunkach dr Henryk wyciągał kartoteki wysiedlonych. Czuł się spokojny, prawie szczęśliwy. Świat jest piękny. Nigdy już nie będzie akcji. Tamto — to była pomyłka, źle zrozumiane pismo z Berlina, przeoczenie w jakimś biurze. I tamci wrócą kiedyś z Ukrainy, z dalekiej Ukrainy, dokąd ich wywieziono, wrócą ogorzali od robót polnych i powędzą: „Proszę nas zameldować”.

— Zameldować? Natychmiast! — odpowie dr Henryk, zacierając ręce. — Kartoteki na was czekają, nieknięte, ułożone alfabetycznie w szafce z napisem Ū (übersiedelt). Nie spaliłem ich w piecu. Zachowałem je w największym porządku, abyście natychmiast po powrocie mogli się zarejestrować. Zobaczą, jak to u mnie idzie. Stąd wychwycić, tu wrzucić — szast! prast! — i już się jest z powrotem między żywymi. Proszę! Zaczynamy! Nie pchać się, panowie i panie! Skończyły się wojenne czasy! Kartotek starczy dla wszystkich! Jak się pan nazywa?

— Pan mnie dobrze zna! Niech pan sobie przypomni!

Dr Henryk, który w uniesieniu ostatnie słowa wypowiedział prawie głośno, podnosi głowę. Przed nim stoi znajoma skądś powstała w ślomych chodakach.

— Czemu mi pan to zrobił?

— Co? Ja? Co ja panu zrobiłem?

— Pan nie wie? Pan nie pamięta? A kto wydał moje dzieci i mnie? Nie pan może? Pan myślał, że się pan mnie pozbedzie, ale się panu nie udało. Wyskoczyłem przez tylne drzwi i wbiegłem na stryszek...

— Ja nikogo nie wydawałem...

— Niech pan nie opowiada. Była lista czy nie była? Kto ją miał wystawić, jak nie pan?

— To było coś zupełnie innego. Tymczasowe wysiedlenie...

— Komu pan idzie opowiadać o wysiedleniu? Mnie? Pociągi szły na północ. My wiemy, co to znaczy...

— Ale ja tylko ratowałem. Ja spisywałem tych, których brać nie trzeba...

— A mnie — to pan nie mógł wypisać?

A moich kociątek — to pan nie mógł wypisać? Co ja panu zrobiłem, że się pan uwziął mnie prześladować?

— Ale kto się na pana uwziął? Ja pana nawet nie znam. Nie wiem, jak się pan nazywa. Gdybym był pana znał, byłbym pana z pewnością wstawił.

— Pan mnie nie zna? A nie pamięta pan, jak przychodziłem w lutym prosić, żeby mnie wciągnąć na listę żywych, a pan nie chciał...

— No, widzi pan Wszystko się zgadza. Jak ja mogłem pana wciągnąć na listę, kiedy pan nawet w spisach ludności nie figurował, na których podstawie przecie lista była wystawiona.

— A kto mnie wykreślił, jak nie pan? Pan się zaciął, żeby mnie zniszczyć za to, że się nie dość nisko kłaniam panu na ulicy.

— Czego pan chce ode mnie? Ja nawet nie pamiętam pańskiej twarzy. Mnie było wszystko jedno, kogo wybrać. Musiałem przecie kogoś wziąć, a kogoś opuścić. Ja jestem urzędnik, stary urzędnik firmy Fiternik i Ska z ograniczoną odpowiedzialnością...

— Niech mi pan nie opowiada, że pan nie jest odpowiedzialny. Wszyscy, co do tego rękę przykładali, są odpowiedzialni. Siebieście umieli ratować...

— A pan siebie nie ratował? Pan nie wyskoczył przez tylne drzwi na stryszek? Sam pan nie chciał bronić swoich dzieci, a żąda pan ode mnie...

— Nie chciałem bronić? Nie chciałem bronić? Spałem w pokoju, a one spały w kuchni. To co miałem zrobić? Iść się zgłosić do Niemców, żeby jeszcze jednego było mniej? Albo człowiek wie, co robi w takich razach? Patrzyłem ze stryszku, jak szły za Niemcami — cicho, grzecznie, jak do szkoły. Ona sobie zawiązywała wstążeczkę we włosach. Wszyscy jesteście winni. Boże, Boże miły!

W sali, pokratkowanej i ponumerowanej sali ewidencyjnego biura, rozlega się po raz pierwszy nieprzewidywany, bydlęcy ryk. Dr Henryk zapomina strząsnąć rękę, spoczywającą na jego ramieniu...

Minęło kilkanaście dni, zanim dr Henryk odczuł pierwsze bóle głowy. Opierał się im dzielnie i nawiązywał do siebie, przewyciężając wstręt, częściej niż zwykle urywał skrawek gazety i sięgał do kieszeni po szczyptę machorki. Zwalczanie jednak objawów nie było równoznaczne ze zwalczaniem zła i kiedy na jego ciele pojawiły się pierwsze czerwone plamy, dr Henryk, chcąc nie chcąc, prawie już nieprzytomny, zleżał, a raczej został złożony przez współpracowników na łóżku między dwiema szafami ewidencyjnego biura. Dla opieki nad nim przydzielono siostrę z miejscowego szpitala; odwiedzali go czasem znajomi. Raz nawet — był to jedenasty dzień choroby — przyszedł sam dr Kirsche. Wbiegł do sali drobnym, ale za to dziarskim jak zwykle krokiem i już w progu zawołał:

— No! I cóż to pan za breweriewyprawia? Czy tak się godzi? Nam tu się robota pali pod stopami, to jest — co ja mówię? — pod rękoma, a pan się wyleguje! No, wstawać, wstawać, stary leniuchu!

I w przystępie żartobliwości chciał go nawet poklepać po ramieniu, ale że był to bądź co bądź tyfus plamisty, więc zreфлектовał się i pogłaskał tylko kilkakrotnie poręcz łóżka.

— Precz! — krzyknął dr Henryk, usiłując bezskutecznie sięgnąć w pościeli i mierzając palcem w dr. Kirschego. — Precz! Nie dotykać! Poznaję cię, szatanie! To ty w nocy wkradasz się do biura i przewracasz kartoteki do góry nogami! To ty podrzucasz zwłoki w trupiarni, żeby się nie zgadzało. Ale wczoraj miałem audjencję u Hitlera i powiedziałem mu, że tak dłużej być nie może, inaczej będzie bunt czyli wojna. Artykuł o tym był już w ostatnim komunikacie radiowym. Sam go napisałem i wysłałem specjalnym transportem na Ukrainę. Ale ty nie jesteś godzien tego słuchać. Odejdź!

— Doktorze — prezes przysiadł na stołku opodal łóżka — pan chyba nie zdaje sobie sprawy, kto ja jestem. Dr Kirsche, prezes Rady, pański przełożony, autor... No, niech pan sobie przypomni. Niech się pan wysili.

— Nie, ty jesteś stary, garbaty Volksdeutsch z ulicy Kapielowej i w dodatku źle prowadzisz rachunki. Bo te rachunki robi się tak: — Dr Henryk zaczął kreślić palcem po koldrze — Tu dodać, tam odjąć — szast! prast! — byle było 3500.

— Chwileczkę! Więc pan twierdzi, że pan był dopuszczony na audjencję do Hitlera? Czy można wiedzieć, gdzie się ona odbyła?

— Gdzie się odbyła? To ty nie wiesz, że Hitler ma główną kwaterę na dole, w pokoju dr. Kirschego? Ostrzegalem go, że to niego nie zajeżdżał, bo on go zanudzi rozmowami o literaturze niemieckiej, a jego interesuje przecie tylko literatura rosyjska, ale on się uparł, powiada: „Władza może zajeżdżać tylko do władzy”.

— No... tak... słusznie... Więc ja już chyba odejdę... Do widzenia, doktorze... Zyczę szybkiego wyzdrowienia...

— Zaraz... chwileczkę... Pan myśli, że ja to wszystko mówię na serio? Ja tylko sobie tak popuszczam cugli, żeby było weselej — jak się nazywa? — umierać. Ja pana dobrze znam, tylko nie chce mi się w tej chwili przypominać, kto pan jesteście... Niech pan posłucha. To jest szafa. Tu wszyscy leżą ułożeni. Czeka. Chce się — do żywych, chce się — do umarłych. Można wskrzeszać, można uśmiercać. Więc niech pan nie zapomni o jednej rzeczy...

— O czym?

— Żeby mnie także...

— Co żeby pana także?

— Żeby mnie także wykreślić z kartotek...

Artur Sandauer

TADEUSZ PEIPER

# Z epizodów wrześnieńskich<sup>\*</sup>

W rozsuniętych zasuwach wagonu, tuż nad jego podłogą, ukazują się czapka straży pożarnej, poniżej podłogi denerwują się usta: czy w wagonie jest miejsce? Niski strażak nie czeka na odpowiedź, już gramoli się w górę, już siedzi na skrajach podłogi. Siedzi na niej z nogami opadającymi na zewnątrz, przepasany taśmami aż dwóch torb przeciwgazowych, taśmami tymi przekłaskany.

Trzeba wielu zdań, aby ujawniło się, że młody człowiek jest Żydem. A czapka? Gdy ze sklepu porzuconego przez kapelusznika ludzie brali, co kto chciał, bo wzięli właśnie czapkę strażacką. Zawsze lepiej mieć na głowie coś z uniformu, bo można wtedy liczyć na względy i można, kiedy dają, dostać więcej niż inni.

Wyszedł z Krakowa tak jak stał na ulicy. Widział tłum zdążający w jednym kierunku, w kierunku za miasto. Był to trzeci dzień wojny, była to owa niedziela, kiedy to niemieckie aeroplany bombardowały Kraków ze szczególną złośliwością. Widział tłum uchodźców, doszedł do przekonania, że natychmiast należy przyłączyć się do niego. Poszedł jak stał na trotuarze, w letnim ubraniu, bez kapelusza, w płóciennych półtrzewikach, z kilku złotychkami w kieszeni. Tak poszedł. W jakimś miasteczku Poczta Kasa Oszczędności rozdawała pieniądze, aby je ocalić przed Niemcami. Dostał 25 złotych. Gdy zdobył czapkę strażacką, pomyślał, że z tak cennym okryciem głowy można próbować szczęścia. W jakimś następnym miasteczku na wszelki wypadek też poszedł do P. K. O., bo wzięł i tam rozdają pieniądze. Nie rozdają, ale on im poradził, żeby zaczęli rozdawać i dzięki czapce uniformowej dostał aż 100 zł. W płóciennych półtrzewikach, które zdarł marszem, już palce na wierzch wyłaziły, ale w Jarosławiu ze zdemolowanego sklepu dostały mu się trzewiki turystyczne i teraz ma obuwie chyba na całą wojnę. Z przejeżdżającej ciężarówki wojskowej, która otrzymała wiadomość, że lada chwila natknie się na Niemców, i która pragnęła z ich zasięgu swój sprzęt usunąć, wyrzucili mu żołnierze torbę z maską gazową. Poprosił o jeszcze jedną i dostał, miał dwie. Dwie maski nie były mu potrzebne, więc jedną sprzedał, ale torbę z niej zachował, państwo rozumieją: na prowiant.

Prowiant, chwala Bogu, jest. Jest czekolada — wskazującym palcem prawej ręki zagląda pierwszy palec lewej, co ma oznaczać: „jeden”; jest cukier — palcem prawej ręki zagląda drugi palec lewej: „dwa”; są suchary — zagląda trzeci palec: „trzy”; są konserwy: „cztery”. Odliczywszy na palcach pozycje swych zdobyczy, wyjaśnia ich pochodzenie i znowu wylicza na palcach. „Jeden”: czekoladę dostał na jakiejś stacyjce poprzez sztachety parkanu z kupieckiego wozu, który ze swym ładunkiem przyjechał na dworzec już niepotrzebnie, bo z powodu wojny pociągi towarowe nie kursują. „Dwa”: cukier wzięł z otwartego dla wszystkich magazynu cukrowni w Przeworsku i ma go więcej, ale resztę dźwiga jego przyjaciel, który jest w innym wagonie. „Trzy”: suchary są od żołnierza, który mu je dał, gdy jadł obiad, dał, bo miał wiele. „Cztery”: konserwy znalazł w polu, na ścięcie, gdzie je zapewne porzucił ktoś, kto je w nadmiarze otrzymał z jakiegoś wojskowego transportu, zapobiegliwie usuwanego przed zbliżającymi się Niemcami. I tak, chwala Bogu, jest wyekwipowany i zaprowiantowany. A wyszedł z Krakowa tak jak stał na trotuarze.

Dumny siedzi teraz na krawędzi podłogi wagonowej. Z nogami opuszczonymi na zewnątrz, gotowymi każdej chwili do zeskoku.

— Słuchajcie, chłopcy: jeśli chcecie, żeby nasz pociąg ruszył z miejsca, trzeba wysiłki zorganizować. Ja obejmuję nad wami komendę, zgoda?

Wykrzykuje to zażywny, tłuściutki porucznik, stojący w grupie kilkunastu młodzieńców zebranych u studni. Chodzi mu o zorganizowanie czerpania wody przeznaczonej dla lokomotyw. Otrzymuje zgodę.

U studziennej korbry stawia czterech ludzi: dwaj pracują, dwaj odpoczywają. Aby pracującej dwójce ułatwić równoczesność ruchów liczy rytmicznie:

— Raz dwa. Raz dwa.

U ujęcia rury studziennej wskazuje miejsce innym czterem ludziom; pracować będą też dwójkami na przemian; jeden z dwójki podstawią wiadro pod strumień wody, a następnie odstawią, drugi zaś podaje je dalej ludziom, którzy mają odnieść je do lokomotyw.

— Chłopcy, w drroge!

Tłuściutki porucznik dyryguje energicznie, a przy tym dobrotliwie. Sposób, w jaki zorganizował pracę, komentowany jest zyczliwie, bo przy małej ilości ochotników, a nadmiernej odległości lokomotyw, nie mógł wypaść inaczej.

Wkrótce „strażak” przynosi wiadomość, że komendant studniarzy jest porucznikiem rezerwy, że jako zmobilizowany jedzie do Lwo-

wa do swego pułku, że towarzyszy mu młodzieńca żona, że pobrali się równo miesiąc temu. I odchodzi, by dowiedzieć się jeszcze czegoś nowego, a dla ułatwienia sobie ruchów pozostawia torby w wagonie.

Wraca zdyszany. Prosi o szybkie podanie torb. Nie pojedzie tym pociągiem. Widział, że do pierwszego wagonu wsiadło około trzydziestu żołnierzy. On już wie, czym to pachnie. Ogniem.

Kleryk uspakaja go. Daremnie. Strażak przepowiada, że Niemcy będą bombardowali ten pociąg. Gdzie żołnierze, tam bomby. To jest taki pociąg, że lepiej nie. Mówi gorączkowo, nie patrząc na nas, mówi jakby do samego siebie, jakby jeszcze w ostatnich chwilach samego siebie przekonywał o słuszności swej decyzji i wykonuje przy tym precyzyjnie wszystkie czynności, jakich wymaga branie torb i ich nakładanie.

Kiedy już wygładza taśmy na barkach i plecach, wypowiada życziwą radę, abymy też porzucili ten pociąg. Wszyscy troje — kleryk, studentka i ja — wyrzucamy z ust złośliwe:

— O, o, o!

Wystrzał.

Wystrzały.

Po prawej stronie pociągu.

Torem przebiegają ludzie.

Zaniepokojone głosy.

— Partyzanci.

— Oczywiście Ukraińcy.

Kule nie niosą się szeroko, nie padają w pobliżu nas. Czyżby były wymierzone w wagon, gdzie siedzą żołnierze?

Kilku żołnierzy wsiada — twierdzi ktoś, kto mija nasz wagon.

Wszyscy żołnierze wysiedli — twierdzi ktoś drugi, kto biegnie torem w naszym kierunku.

Za chwilę widzimy, że z kolejowego nasypu zbiegają żołnierze na łąkę, z której padły strzały. Bić się będą?

Będą. Widać to z rozkazowych ruchów tłuściutkiego porucznika. Objął komendę nad napotkanymi przypadkowo żołnierzami, tak jak poprzednio uczynił to z młodzieńcami, którzy bez metody pracowali u studni.

Żołnierze rozsypali się w tyralierkę. Sterczą nad łąką szerokim półkolem.

Z daleka, zza żywego płota krzewów i drzewek, wypadł żółty strzał. Nasi żołnierze przypadają do ziemi. Potem podryw, skok, bieg, przystanek, strzelają.

Wtem ze strony przeciwnej trysnął strumieniem stali karabin maszynowy. Kleryk zdumiewa się nad uzbrojeniem ukraińskich partyzantów, zawiera zasuwę wagonu, wyjaśnia, że jakaś kula może się zabłąkać i złożyć nam nieproszoną wizytę.

Serie maszynowych wystrzałów tłuką w uszy szybkimi trzaskami. Podchodzę do zawartych zasuw, przez szparę widzę tylko niewielki wykrój pola walki, w nim jednego żołnierza posuwającego się naprzód, pochylonego, zaciśniętego u boku karabin. Wtem — buch! — zwala się w trawę ruchem trafionego.

O ścianę naszego wagonu otarła się kula. Kleryk zaleca przypadnięcie do podłogi. Studentce rozkazuje to nawet. Już leżą. Ja... Stan, w jakim wszedłem w wojnę, nie wyzwała we mnie takiego ruchu samoobrony; przysiadam na jednej z desek, przerzuconych poprzecznie od ściany do ściany. Moi towarzysze podczołgują się pod deski, aż w kąt, twarze opuszczają w dół do samej podłogi, policzki okrywają ramionami. Zyczliwie patrzę na ich pragnienie życia.

Strzelanina przeciąga się. Wystrzały strony przeciwnej roznoszą w powietrze zagadkę swego pochodzenia. Tryska stała już nie tylko jeden karabin maszynowy. Kleryk lęka się, że zasuwę wagonu mogą rozdzielić się, związuje je sznurem, jeszcze przetyka znalezionej w kącie drewnianą listwą. To samo czyni z zasuwami przeciwległej ściany. Uznawszy zabezpieczenie za dostateczne, wraca, i podczołguje się w swój kąt.

Po roztryskaniu się maszynowych kul milkną wystrzały karabinów ręcznych, te w pobliżu na łące. Jesteśmy zamknięci w wagonie, walka dochodzi do nas tylko poprzez uszy, nie wlemy, co się tam stało, co się tam dzieje. Zdaniem kleryka nasi posunęli się tak daleko, że ich wystrzałów już nie słychać. Może, ale ciągle słychać jeszcze wystrzały karabinów maszynowych, więc ciągle jeszcze słychać napastnika. Słuchamy, słuchamy, nie rozumiemy. Uszy dają nam obraz walki cząstkowy, więc niepewny. Powoli zaczynamy ustalać jedno: ręczne karabiny milczą nieprzerwanie, a maszynowe gardłują, gardłują. To znaczy, że napastnik... Że on zwyciężył?

A teraz milkną także karabiny maszynowe. Koniec? Jaki?

Nie, nie koniec. Huk, jak od spadającej bomby. To już na pewno nie Ukraińcy. Niemcy. Ich bombowiec. Nad pociągiem?

Jeszcze jeden taki huk, lecz bliżej naszego wagonu. Niebezpieczeństwo przybliżyło się? A my zamknięci. Takie uczucie, jakby zamknął nas ktoś od zewnątrz, a nie ktoś z nas. Takie uczucie, jakby to zamknięcie nie dało

się cofnąć, jakby było nieodwołalne, jak gdybyśmy mimo zbliżającej się śmierci nie mieli prawa otworzyć wagonu, jak gdybyśmy musieli umrzeć zamknięci.

I oto uderza w uszy twarda kula powietrza, huk dotkliwszy od wszystkich poprzednich i wagon zwierzęcym wierzgnięciem poruszył się na szynach. Co to było? Pocisk padł blisko nas, z lewej strony pociągu.

Jeszcze raz taka twarda kula powietrza, taki huk, takie wierzgnięcie wagonu. Jakież to pociski? Na razie nie trafiają w wagon, nie uderzają w ściany, lecz za chwilę może się to stać, a wtedy koniec. Kleryk i studentka przygotowują się na śmierć, zaczynają wyszeptywać modlitwy. Ja, gdy życie moje zależy już tylko od celności strzelca, przeżywam zalety śmierci.

Lecz strzelec pudłuje i pudłuje. Nieznany pocisk, co kilka minut zamierzający się w nas, nie trafia w ścianę naszego wagonu. Chłoczsze szynę. Pada tuż, tuż. U kół naszego wagonu. U jednego z kół naszego wagonu. Ciągłe u tego samego koła. U lewego koła przedniej pary. Ciągłe tak. Po prawej stronie pociągu broń milczy, ucho nie słyszy nic, ani ręcznych ani maszynowych karabinów, tam skończyło się wszystko, a po lewej stronie tylko ten jeden pocisk, powtarzający się co kilka minut, niosący swą wściekłość tylko w nasz wagon, upuszczający swój przeraźliwy ładunek ciągle pod lewe koło przedniej pary, ciągle w to samo miejsce, ciągle w to samo.

W końcu i to minęło. Przestaje padać pocisk, przestaje wierzgać wagon, jest cisza zupełna. Czy to koniec walki? Jak się skończyła? I co teraz?

— Aufmachen!

— Niemcy!

Po tej walce — oni!!

— Aufmachen!

Twarde uderzenie w zasuwę wagonu.

Jacy będą? Gdy za chwilę stanie przed nami nasza trójka z „rasy niewolników”, co zrobią?

Kleryk wyczołguje się z kąta, podskakuje pod zasuwę, aby je rozewrzeć, lecz tak je mocno związał poprzednio, że teraz swych umocnień rozluźnić nie może. Niemcy walą w zasuwę coraz groźniej. Studentka, która podbiegła do kleryka, patrzy na jego ręce jakby swymi spojrzniętymi mogła obudzić w nim siłę i zręczność. Niemcy, nie mogąc doczekać się otwarcia, podejrzewają planowy opór i grożą wysadzeniem wagonu. Po niemiecku wyjaśniam, że w tym wagonie są ludzie cywilni i bez broni, że nieotwieranie pochodzi z technicznych trudności, że wymaga czasu, że jednak będzie wykonane.

Wszystko zależy teraz od tego czy klerykowi uda się na czas rozewrzeć zasuwę. Ręce mu drżą na opornym sznurze, a w listwie, gorączkowo wstrząsanej, nie znajduje pomocy skutecznej. Następuje szarpnięcie, w którym czuć, że zależy od niego życie, szarpnięcie wściekłe. Zasuwę ruszają z miejsca, i w rozszerzającym się wykroju: zielonawi żołnierze z pistoletami skierowanymi w nas.

Dwaj z nich spadają do wagonu, opukują nas, wpychają się w nasze kieszenie. Stwierdziwszy, że nie mamy broni, ruchem rąk dają rozkaz wysiadania. Kleryk i studentka wysiadają bez wzięcia swych rzeczy, ja odskakuję, aby chwycić teczkę ze skryptami, a że leży ona pod płaszczem i pod walizką, więc chwytam w ręce cały bagaż. Żołdak skierowuje we mnie pistolet, ja w odpowiedzi rozciągam teczkę i ukazuję jej wnętrze. Wpycha łąpę, a nie znalazłszy nic niebezpiecznego, wielkim grubym pistoletem gwałtownie wskazuje mi drogę naprzód.

Obciążony moim gorączkowo i beładnie schwyconym bagażem, mam niejaki trudności przy zeskakiwaniu z ciężarowego wagonu. Walizkę i płaszcz, które wyrzucam przed sobą, podnosi z ziemi kleryk, pęk kartek, który wyleciał ze spadającej teczki, trafia szczęśliwie w zgrabne ręce studentki, teczkę porywam, gdy, zeskoczywszy z wagonu, staję tuż nad nią.

— Rasch, vorwärts!

Popędzają nas nasypem wzdłuż wagonów, wzdłuż lewego boku naszego pociągu. Luźne kartki włożone mi w rękę przez studentkę, walizka wepchnięta mi pod pachę przez kleryka, płaszcz rzucony mi przez niego na ramię i teczka schwycona błyskawicznie przeze mnie, stanowią teraz całość tak niepewną, że nieś ja nie łatwo. Żołdacy nie zostawili mi ani jednej chwili na właściwe ułożenie rzeczy. Skrypty są teraz tak pomieszane z resztą bagażu, że, aby je ocalić, muszę ocalić wszystkie bagaże. Niosę go w zamkniętych ramionach, jak kawał sypekowej ziemi, który lada chwila może rozpaść się i wymknąć z moich objęć.

Równocześnie męczy się głowa, wirują w niej myśli o tym, co stanie się teraz z nami, i o tym, co stało się tam na łące w ciągu tej godziny czy tego kwadransu, kiedy byliśmy zamknięci w wagonie. Co z nami uczynią Niemcy? Czy będą nas uważali za związanych z naszymi żołnierzami, którzy z bronią w rękę podjęli przeciw nim walkę? Czy

też, dopatrując się w nas członków jakiejś organizacji, poddadzą nas torturom wydobycia „tajemnic”? Czy może osadzą nas w obozie koncentracyjnym? A co stało się tam na łące, po drugiej stronie kolejowego nasypu, na tej łące, której już nie widzimy, bo przesłaniają nam ją wagony pociągu? Co stało się z naszymi żołnierzami? Czy poddali się? Czy polegali?

Jedno w każdym razie widzę, och widzę: Niemców. Tam na łące toczyła się walka nie przeciw Ukraińcom, jak to komentowano w naszym pociągu, lecz przeciw Niemcom, przeciw oddziałom regularnego wojska niemieckiego; więc jest zrozumiałe, dlaczego zesłankowali obstrzał na wagonie, w którym jechali nasi żołnierze, jest zrozumiałe poważna broń przeciwnika, jego maszynowe karabiny i precyzyjne miotacze pocisków, jest zrozumiałe zamknięcie naszych trzydziestu karabinów, jest zrozumiałe, dlaczego wróg uwziął się na nasz wagon zamknięty do ostatniej chwili, a więc podejrzanym dla niego jako możliwa kryjówka ostatniego oporu, jest zrozumiałe miotanie pocisków pod koło wagonu, tylko pod jedno koło, miotanie, w którym bynajmniej podłożenia nie było, lecz precyzyjne trafianie w upatrzony punkt, tak wybrany, aby nas straszły krótkim zbliżeniem się chwili naszej śmierci i aby równocześnie... nie niszczył wagonu.

Lecz skąd się oni tu wzięli? Pod Rzeszowem widzieliśmy cofanie się naszych taborów frontu południowego lub południowo-zachodniego, ale nie natknęliśmy się na żaden pojaw, który by wskazywał, że tuż za nimi postępuje armia niemiecka. Włęcz Niemcy albo omiłowali główny tor kolejowy i główną szosę, a posuwali się innymi drogami, wykorzystując szybkie wozy zmotoryzowane, i tutaj zajęli nas z tyłu — albo przybyli na tyły naszych wojsk z południa, ze Słowacji. Jeśli ze Słowacji, to zarysowałyby się niemiecki plan strategiczny: do głównych działań na linii poziomej doprowadzać odcinki prostopadłe, mające zamykać drogę cofającym się naszej armii; na głównej linii poziomej odbywałoby się nacieranie, na kolejno doprowadzanych odcinkach pionowych — zaskakiwanie. Może w tej właśnie miejscowości, w której jesteśmy, utworzyli Niemcy jeden z takich zaskakujących odcinków pionowych i na tej linii zatrzymują cofające się oddziały naszej armii, tak jak zatrzymali nas?

Podróznych, wyprowadzonych z pociągu, doprowadzają do wielkiej gromady, ustawionej już na nasypie, a pochodzącej z pociągów zatrzymanych poprzednio.

Na skraj nasypu, mając łąkę przed sobą, a szyny za sobą, stoimy w długim szeregu jeden obok drugiego. Mimo, że żołdacy ostrymi rozkazami przytwierdzają nas do miejsc, są morowcy, którzy umieją pod różnymi pozorami zmieniać miejsca w szeregu i przenosić przy tym różne ważne szepoty. Przeszeptują nam wiadomość, że znajdujemy się niedaleko Radymna, przedostatniej stacji przed Przemyślem, że Niemcy już od rana zatrzymują tutaj wszystkie pociągi ewakuacyjne, że dzisiaj odprowadzili już stąd w niewiadomym kierunku kilka tysięcy ludzi. Przeszeptują nam ponurą wiadomość o młodzieńcu, który widział, że nasz pociąg dostanie się w ręce Niemców, scyzorykiem przebił sobie serce i skonał na miejscu. Przeszeptują nam żalobną wiadomość o wyniku zbrojnej walki, która toczyła się na tamtej łące, na tej, która teraz jest poza nami: wszyscy nasi żołnierze polegali, nie ocalał ani jeden.

Żołdacy oddzielają kobiety od mężczyzn i przepędzają je na łąkę rozciągającą się przed nami. Czy w marszu, który należy nam przewidywać, będą jako słabsze i obciążone dziećmi szły przodem, aby miara ich chodu była miarą dla mężczyzn?

Ustawione na łące odwracają ku nam oczy, starają się z naszych twarzy wyczytać nasze myśli o losie, który grozi nam i im? Między obu gromadami rozwijają się nieme dialogi, dialogi niespokojnych i uspokajających rąk, dialogi ramion przesyłających przypomnienia i zapewnienia, dialogi znieruchomiłych oczu. Jakiś rwący płacz wdziera się w milczenie. To płacze wdowa po tłuściutkim poruczniku, który przed godziną poległ na czele trzydziestu żołnierzy, dobrowolnie zagarniętych pod bojowe rozkazy.

Morowcy, którzy umieją niemieckich żołdaków okpiwać i zmieniać swe miejsca, przeszeptują wiadomość, że na końcach naszego szeregu zaczęło się odbieranie broni, jeśli jej kto poprzednio nie wydał, i odbieranie wszelkich przedmiotów ostrych. Morowcy dają w ten sposób ryzykantom czas na zręczne ukrycie tego, co chcą ukryć.

Rozbrowszy naszą męską gromadę, przeprowadzają ją żołdacy na łąkę. Przez chwilę wydają się, że nastąpi połączenie rozłączonych. Lecz nie, kobiety pozostają na swoim miejscu, a nas ustawia się w szóstki i — w prawo zwrot! marsz!

Kobiety zwracają się w kierunku odmasz-

\* Fragment książki „Pierwsze trzy miesiące”.

rowujących, zastygłe w oczekiwaniu tego, co się stanie. Żony wpatrują się w odchodzących mężów i synów, córki w ojców i braci, a nasza dobra i uczynna studentka w kleryka i we mnie.

Gdy oddaliśmy się już na taki dystans, że wyklucza on przyłączenie kobiet do naszego pochodu, wszyscy rozumiemy, że rozłączenie jest ostateczne. Ciepłym powietrzem przelatują pożegnania między jedną gromadą a drugą, pożegnania bezsłowne. Ręce wydzierają się w powietrze, szlachy niosą się w przestrzeń, jak jęk wtapia się w niebo.

Idąc falistościami łąki, tracimy z oczu miejsce, gdzie pozostały kobiety. Jest nas z pół tysiąca. Nagle świst, huk. Oglądamy się: czarny snop rozpylonej ziemi, wyrzuconej w górę, piętrzy się w powietrzu. Padła bomba. Niedaleko.

Ciemne cielsko bombowca sunie powoli, z ryjem skierowanym w naszą gromadę. Wszyskich opada myśl, że teraz rzynię w nas. Popłoch, próby ucieczki, zrozumienie jej bezskuteczności, przypadnięcie do ziemi, leżenie na brzuchu, czołganie się pod krzewy i pod liście zielsk, zrozumienie daremności i tego, oczekiwanie śmierci.

A przecie, gdyby bombowier miał nas zmiążyć, musiałby zmiążyć także eskortujących nas Niemców, a oni bez lęku wykonują swe funkcje dalej. Nasi ludzie nie uwzględnili tego, ich wyobrażenia o tepieliskich zamiarach hitlerowców są tak zdecydowane, że wykluczają logiczne myślenie.

Niemiecki kapitan krzyczy pogardliwie:

— Dummes Vieh! Aufstehen!

Lecz za chwilę niesie bombowier niepokój jemu i jego żołnierzom. Jest coś osobliwie groźnego w ruchu tego maszynowego cielska. Niemcy niespokojnie podnoszą w jego stronę głowy, jak gdyby liczyli się z możliwością tragicznej dla siebie pomyłki. Kapitan, który z taką pogardą patrzył na przypadłych do ziemi Polaków, stoi teraz z szyją trwoźnie wyciągniętą, z głową trwoźnie przechyloną, z oczyma trwoźnie śledzącymi powietrznego potwora. W końcu chwytą oburącz jakiś aparat wiszący na jego piersi, kształtem i rozmiarem przypominający aparat fotograficzny i wyrzuca z niego naciskiem sprężyny małą rakietkę, srebrzystą, trójkątną, płaską, potem jeszcze jedną i jeszcze trzecią. Jest ona znakiem, że tu atakować nie należy; bombowier zmienia kierunek lotu i oddala się.

Lazurową tonią niebios, na falach przeczystego powietrza zbliża się teraz samolot niewielki, zwiny, jasny, niemal tak srebrzysty, jak rakietki, które przed chwilą wzbijały się w powietrze. Płynie wysoko, miękko, niegroźnie, przecina linie naszej drogi niemal kokietliwie. Znawcy orzekają, że to czeska maszyna, wytwór fabryk Skody. Tym świecą nam Niemcy w oczy. Chcieliby poddać nam myśl, że między Polską a Niemcami istnieje możliwość takiego rozwiązania konfliktu, jakie dla Czechosłowacji przyjął Hacha. Po straszającym bombowcu taką oto kokietliwą myśl niesie w swych polyskach srebrny lis powietrza.

Jest blisko nas jeszcze coś, co się srebrzy. W ręku dwóch czy trzech eskortujących nas żołnierzy — papierowe srebro, opakowanie czarnych „pumpniklowych“ chlebków, pościętych na cienkie, foremne plasterki. Ze srebrnego opakowania wydobywa żołnierz tylko jeden plasterek i je go powoli małymi kęsami, jakby w salonie na herbatce. O, nie nasycy nim głodu, to pewne. Chlebiki w srebrnym opakowaniu mają być popisem niemieckiej aprowizacji wojennej. Przed wojną nasza i zagraniczna prasa przynosiły ciągle wiadomości o niedostatkach żywnościowych w Niemczech, o braku dostatecznych zapasów mąki, o zupełnym zniknięciu czystego masła, o braku owoców i jarzyn, o ograniczeniu spożycia mięsa do kilku dni w tygodniu. Wyciągano stąd wniosek, że Niemcy nie są zdolne do prowadzenia wojny i że ich groźby wojenne są tylko szantażem. Wybredne, w srebro opakowane chlebiki, które żołnierze niemieccy jedzą tak małymi kęsami i tak powoli, nie są tu po to, aby sycić, lecz służyć na pokaz, są rekwizytem teatralnym. mają ludzi ujarzmiłego kraju oślnić niezwykłością środków, jakimi rozporządza ujarzmiel. Tak przynajmniej w tej chwili myślimy.

Schodząc z łąki, mijamy szkarpe, w którą wparto są skomplikowane w budowie działka. Z nich to zapewne miotano pociski w nasz pociąg. U tych precyzyjnych maszyn stoją do tej pory maszyny w szarozielonych mundurach.

Wchodzimy na szosę, w jej ciemny i ciężki Droch. Eskortują nas ludzie młodzi, około dwudziestoletni. Drą nam oczy ich buty, ich uniformy. Przed wojną nasza i zagraniczna prasa pisały z lekceważeniem o niemieckich maszyniarach wojskowych, o butach z tektury, o uniformach z masy drzewnej a widzimy zgoła co innego. Idziemy, każdy pogrążony w myślach.

W ostatnim szeregu, z kolejarską torbą w ręce, kroczy czterdziestokilkuletni kolejarz o twarzy wyrzeźbionej niedostatkiem, o uśmiechu, w którym ukrywa się złoto obowiązującego milczenia. Zapewne konduktor kolejowy. Kolyse swą torbę długim ruchem jakby szedł w grupie kolegów, którzy wraz z nim po zawodowej turze dopiero co opuścili dworzec

kolejowy rodzinnego miasta i pośpiesznie zmiierzają do domu lub piwiarni.

Rozmawia z żołnierzem niemieckim, którego zręcznymi manewrami wprowadził w ostatni szereg kolumny i w ten sposób ukrył przed oczyma kolegów i przełożonych. Żołnierz, szczeniak jak niemal wszyscy, których dotąd widzieliśmy, nie ma więcej niż dwadzieścia lat, twarz gładka, jasna, niemal dziewczęca. Kolejarz rozmawia z nim łamaną niemiecką.

Wkrótce rozmawia z nim innym jeszcze językiem: porozumiewawczo trąca go łokciem. Mówi już do niego per kamerad i per ty. Ma to być dobieraniem się do proletariackiego sumienia Niemca, do jego poczucia robotniczej solidarności. Nie znalazł czego szukał, w głąb kolumny wraca machając ręką.

Nie wraca jednak z niczym, przynosi wiadomość, że nikomu nic złego się nie stanie, tylko Żydom będzie źle. Kolumna przyjmuje tę wiadomość w milczeniu. Każdy myśli swoje; co myśli, nie wiadomo.

Obok mnie maszeruje kilkunastoletni chłopak wiejski. Widząc, że mój nieskładny bagaż utrudnia mi marsz, sam od siebie wyjmuje mi z ręki walizkę i niesie. Zauważa to żołdak, wchodzi w głąb naszej kolumny, w nasz szereg, odbiera chłopcu walizkę, stawia na ziemię i ruchem palca wskazuje ją mnie. Biore, niosę.

Jest jasne, że odbyło się tu zarzucanie wędki na dziecko wsi. Chytry chwyt był przejawem rozległego planu. Najeżdźca pragnąłby pozyskać sobie masy chłopskie, pragnąłby, zdobywając Polskę, zdobyć przede wszystkim Polskę-żywicelkę. Lecz czy zrozumie to chłopak? Czy to zrozumie? Tyle w ostatnim czasie nasuchał się o okrucieństwie Niemców, a tu nagle staje wobec faktu, w którym tego okrucieństwa nie znajduje, przeciwnie, mógłby dopatrzeć się w nim nawet dobroci, mógłby pomyśleć, że przecie Niemiec występuje tu przeciw „męczeniu“ wiejskiego chłopca. Przy niektórych uwarunkowaniach mógłby pomyśleć, że co najmniej ten Niemiec jest dobry. Czy zrozumie chytryś niemieckiego chwytu?

Choć bardzo jestem ciekaw co myśli, nie chcę zadawać mu żadnych pytań, bo wniośliby w jego myśl obcy składnik. Jeśli miałbym je poznać, chciałbym je poznać w całej ich czystości. I poznaję je. Oto chłopak sam od siebie mówi. Mówi, przegradzając zdania pauzami:

— To ci Niemiec.

— Chytra sztuka.

— Ja panu jeszcze poniese.

— Tylko późni, jak on odyjdzie.

Niemiec nie osiągnął swego. Lecz nie wie o tym i snuje swe zamysły dalej: przyzywa chłopaka i ze srebrnego opakowania wydobywa dla niego plasterek czarnego chlebika. Jak zareaguje chłopak na to? Chłopak przykłada chlebny plasterk do ust. Gdy już jest w sze-

JAN MEYSZTOWICZ

## Strzepy epopei

Wkroczenie Niemców do Paryża 14 czerwca 1940 odbiło się przeraźliwym dysonansem w nastrojach i szczerze udzielanych miarodajnych wypowiedziach najwyższych polskich kół rządowych i wojskowych we Francji. Wprawdzie gen. Gamelin, przekazując dowództwo gen. Weygandowi 19 maja, uznał był wojskową sytuację sprzymierzonych na kontynencie za beznadziejną — brytyjski korpus ekspedycyjny ukończył ewakuację z plaż Dunkierki 3 czerwca ratując od niewoli, wraz z niedobitkami francuskimi i belgijskimi, 330 tysięcy ludzi i pozostawiając poza sobą wszystko prócz karabinów i plecaków — a pochód Niemców ku Atlantykowi od początku czerwca hamowany był wyłącznie przez przestrzeń, czas i sporadyczne ośrodki oporu pozbawione dowodzenia na wyższym szczeblu i, z reguły, łączności pomiędzy sobą — niemniej jednak mot d'ordre Angers i hotelu Regina w Paryżu, siedziby sztabu polskiego, walczyło z defetyzmem, zabraniało spojrzeć prawdzie w oczy, potępiało przedsięwzięcie przygotowań do wyciągnięcia konsekwencji z klęski, raz po raz sięgało do żelaznej porcji przymiotników, którymi nasi wojskowi tak chętnie zastępują trzeźwą ocenę wypadków.

Rozmiar katastrofy i groźbę wydarzeń łatwo było odmierzyć częstotliwością zwracania się oficerów, nawet pułkowników, do podchorążych, ba! nawet do podoficerów, per „panie kolego“. Już kampania wrześniowa wykazała niezawodność tego signum temporis. Jak długo obowiązywała krzepa i wszystko było dobrze, istniała tendencja, by zwracać się do podwładnych per „ty“ (nieraz kwalifikowane) lub „wy“ (nieraz zawieszające okraszone). Z chwilą kiedy sytuacja poczynała przybierać kiepski obrót, automatycznie zjawiało się: „panie podchorąży“, z odcieniem łaskawości lub czegoś w rodzaju solidarności klasowej w głosie. „Panie kolego“ natomiast, z całym bogactwem niuansów, stało się hasłem balaganu lub ogólnej i skomplikowanej rejterady.

Ewakuacja naszego wojska z Francji do Wielkiej Brytanii miała wszystkie klasyczne

regu obok mnie, patrzę na niego z ukosa: chlebik ciągle u ust, ale ani jeden kęs nie odgryziony. Za jakiś czas jeszcze jedno spojrzenie z ukosa: chłopak wkłada chlebik do kieszeni. Więc jednak? Odkłada smakołyk na jakąś szczególną chwilę? Nie! Gdy żołdak oddala się ku przednim szeregom, chłopak prosi mnie o kawałek białego chleba. Więc tamtego który Niemiec dał mu wyróżniająco, nie będzie jadł. Niemiec swego znowu nie osiągnął. Chłopak nie powiedział nic a wyraził wszystko

W Radymnie u ujścia ulicy, wiodącej na rynek, leży na ziemi zbiorowisko pogruchołanych na dwoje polskich karabinów. Beładnie zahacza się o siebie postrzępione drewno kawałów.

Aby nie było niedopowiedzeń co do znaczenia tego zbiorowiska, otrzymuje ono jeszcze uzupełnienie: żołdacy przynoszą nowe ilości karabinów i w naszej obecności przetręcają je na dwoje. Dzieje się to w miejscu, obok którego wiedzie nasza droga, obok którego musimy przejść. Pogruchołali, położyli na naszej drodze i zmuszają nas patrzeć. Uragliwą niemotą mówią: nie sądzicie, że wasze karabiny to zdobycz wojenna; widzicie czym są dla nas; leżą jak szczapy na opał; patrzcie; musicie patrzeć. Chcą okazać pogardę dla polskiej broni i pogardą tą upokorzyć.

Pomylili się. Słyszą za sobą ironiczny chichot, ktoś dopowiada wspólną myśl słowami: — Ale się wściekają!

Nasi ludzie wzięli gruchotanie naszych karabinów za wścieklą zemstę, wylewaną na broń doskonałą. Błędne, lecz zdrowe. Niemcy znowu nie osiągnęli swego.

W środku rynku stoi świeży kaleka wojenny: ratusz. Bomba trafiła w jego wieżę, rozplatała ją i wzniciła w niej pożar, który ją przegrzył. Opadły kawały ścian i otwały jej głąb. Jakby kto szyję podziębnie przekroił, a jej wewnętrzne organa wyciął.

Nasi ludzie przygarbiają się, myślą miejsca w szeregach. Ból wtargnął w kolumnę.

Wyprowadzają nas na sam kraniec miasteczka, i u zbiegu dwu szos, u podnóża parkanów, sądzą na trawie. Sądzą, że ma to być krótki odpoczynek, ale nie, mijają kwadrans, a my siedzimy. Więc może nas tu zatrzymają? Może w ogrodach za parkanami będzie nasz obóz koncentracyjny? Mijają godziny.

Z nastaniem nocy szosa ożywia się. Przeciągają przed naszymi oczyma auta osobowe zapowiadane każdorazowo parą światełek reflektorowych, zaczemniając pomniejszonych i niebieskich. Przeciągają coraz liczniej. Już nie ma chwili, żebyśmy u zbiegu szos nie widzieli równocześnie po pięć, sześć wozów Jadą, jadą ciągle. Trwa to bez przerwy godzinę. Wśród naszych ludzi westchnienia zawiści. Na jednym kawałku drogi taka masa aut!

Mnie początkowo ogarnęło zdumienie. Zwracała moją uwagę nie tylko oszałamiająca ilość aut, także funkcja, jaką mają spełniać. Dokąd one zdążają? Co mają wykonać? Zaczynam rozglądać się i znajduję wyjaśnienie. Tu wcale nie ma tej ilości aut, jaką widzą łatwowieczne oczy. Wokół miejsca, gdzie nas posadzono, układ dróg i drózek jest taki, że można w niedostrzegalny dla nas sposób jakby za kulisami drzew i zabudowań, zbaczać ze szosy, zawracać i pojawiać się znowu u zbiegu dwu szos. gdzie siedzimy. Kilkanaście wozów gra rolę masy wozów. Niemcy chcą nas omamić nierealną ilością maszyn, chcą nam za imponować obfitością swych środków, chcą ugrunтоваć w nas myśl o beznadziejności polskiego oporu. Aby ułatwić sobie zakulisowe oszustwo, czekali na jeszcze jedną kulisę: na noc. Dlatego trzymali nas tutaj tak długo.

Po zakończeniu widowiska zbierają nas na szosie i prowadzą — wstecz. Prowadzą nas na rynek, na którym byliśmy już za dnia, na którym widzieliśmy ratusz z rozplataną wieżą.

Ta wieża jest teraz inną. Kiedy przechodziłszy tędy kilka godzin temu, nie gorzała ani jedna iskra. Wszystko, co miało spłonąć, dawno spłonęło, zmieniło się w węgiel i popiół. Teraz widzimy ogień, wewnątrz wieży gorzeje, słup ognia rwie się w nim do góry.

Oczywiście ogień pochodził ze świeżego podpału. Specjalnie dla nas przygotowali Niemcy widowisko niszczenia. Aby je podać z teatralną prawidłowością, zatrzymują nas w środku rynku, w miejscu, z którego widać ogień w całej jego niszczycielskiej mocy, w pełni jego przynębiającej natury. Widzimy jak czerwone i żółte płomienie urastają w olbrzymie zęby i jak kasażą; widzimy jak dym klebi się i pokrywa czernią napotkane powierzchnie; widzimy i słyszimy jak iskry buchają z trzaskających drewnien. Ogień gra swą rolę jak wirtuoz.

Lecz widzowie nie użyczają oczu okropnościom sceny. Aby nie patrzeć, ten poprawia sznurowadła u trzewików, tamten przesuwają sąsiadowi rzemienie plecaka, trzeci przypatruje się palcom własnej dłoni. Między trzewikiem a trzewikiem, między rzemieniem a rzemieniem, między palcem a palcem przemijają szepoty:

— A, dranie!

— A, hieny!

— Z piekła ludzie!

— Im tego ognia w ślipia, w same ślipia!

Poprzednio, za dnia, gdy pierwszy raz przechodziliśmy przez rynek i wieża stała przed nami wygasła, widok jej zniszczenia wywołał tylko ból. To wznowienie pożaru na trzeźwo, na chłodno, to powtórne niszczenie zniszczonej już poprzednio budowli, dokonywane tylko w tym celu, abyśmy byli świadkami niszczenia i abyśmy poznali niemiecką gotowość do niszczenia — wywołało nowe uczucie: żądzą zemsty.

Tadeusz Peiper

cechy zaskoczenia. Toteż od razu przybrała charakter rozgardiaszu i — ratuj się kto może. Pospolite ruszenie ku portom, skąd były nadzieje wydostania się z kontynentu, nawiązało w wielu swych objawach do tradycji Piławców. Brak rozkazów z góry, strach przed wzięciem na siebie odpowiedzialności za cokolwiek, ratowanie walizek, a czasem i żon, najwyższy diapazon wzajemnego wymyślenia sobie, brak środków transportu i podstępne wypychanie się z przeładowanych ciężarówek i statków — słowem drugie uzupełnione wydanie ewakuacji wrześniowej. Hierarchia wojskowa od razu wzięła w łeb. Zawiódł automatyzm dyscypliny nie opartej o zasłużony autorytet. Jedynie 10 Brygada Kawalerii Pancerniej gen. Maczka przybyła do portu ze sprzętem i bez paniki.

Na jednej z szos bretońskich kapral Kilan, górnik z Pas de Calais, wykombinował sobie, z grupą kolegów, porzucony samochód brytyjski. Został zatrzymany przez grupę oficerów, z których żaden nie rozumiał po francusku i nie umiał prowadzić samochodu. Pertraktacje o oddanie wozu do dyspozycji oficerów utknęły z punktu. „A wy jak się nazywacie?“ — zawołał doń wreszcie groźnie pewien kapitan, odpinając pochewkę od pistoletu. „My się nazywamy pan kapral Kilan“ — odpowiedział interpelowany z gestem, którego by się nie powstydział Cyrano de Bergerac — i ruszył sobie dalej.

I Dywizja Grenadierów i II Dywizja Strzelców Pieszych, pod dowództwem generałów Ducha i Prugar-Ketlinga, walczyły zbyt głęboko w wschodnich granic Francji, aby można je było uratować od rozbicia, niewoli lub, jak w wypadku II Dywizji, internowania w Szwajcarii. Karta obu tych dywizji jest chlubną pod każdym względem. III Dywizja, niewykształcona ale prawie w pełnym stanie, elementy Dywizji IV, cała Brygada Podhalańska wyładowana w Brest 14 czerwca po ewakuacji z Norwegii w sile 4500 żołnierza mogły i powinny były być przerzucone do Wiel-

kiej Brytanii — gdyby pomyślano o tym zawczasu.

Do Wielkiej Brytanii przedostawał się kto mógł i kto chciał, przeważnie na własną rękę. W wielu wypadkach, w Brygadzie Podhalańskiej mogłem to oglądać na własne oczy, nie było ze strony dowództwa żadnych prób zachęcania szeregowych do opuszczenia Francji w kierunku na Wielką Brytanię. Przeciwnie, oddziały rozwiązyvano na łeb na szyję, zwalniano jak wycieczkowiczów z powodu złej pogody, a dowódcy wyrzucali ku portom jak z kopyta. Ogromna większość żołnierzy byli to emigranci z Francji, doskonały materiał ludzki, którym jednak pilno było — podobnie jak żołnierzom francuskim — do domów, rodzin i opuszczonych warsztatów pracy. Byli oni żywi z Francją i reagowali żywo na nastroje społeczeństwa francuskiego, przeciwnie jakimkolwiek odruchom oporu i otwarcie celebrujące koniec wojny. Tak długo jednak, jak żołnierze nasi byli w oddziałach zwartych, dowódcy ich nie potrafili głów a rozprężenie nie nabrało rozmiarów klęski. Znaczną ich większość byłaby, choć bez entuzjazmu, wykonała do końca żołnierski obowiązek i znalazła się w Wielkiej Brytanii.

Na pogrom francusko-brytyjski Francja reagowała niezmiernym zdziwieniem, ale i westchnieniem ulgi. La guerre est finie! W słowach tych mieściło się rozczarowanie, podsyte obawą przed ceną, jaką przyjdzie za fakt ten zapłacić. Górowała jednak, zwłaszcza na południu i zachodzie kraju, uczucie wyzwolenia się z bezsensownego koszmaru. Realna rzeczywistość wojny wydawała się złem mniejszym niż jutro klęski. Na bardzo nieliczne odruchy beznadziejnej obrony, wytrwania za wszelką cenę, patrzano z niechęcią i odcieniem złości, zwłaszcza o ile pociągły za sobą straty i zniszczenia wśród ludności cywilnej. Opór przestał być celowy, tracił zatem donkicoteria. „L'héroïsme inutile est entiché de ridicule“ (tak ujął to Saint Exupéry w „Pilote de Guerre“). Wśród wojskowych zawodowych — przywiązanie do trady-

cji, ambicja zawodowa i gorzyc upokorzenia nie naruszyły logicznych przesłanek dowodzących końca wojny. Jedynie inscenizacja przegranej winna się odbyć zgodnie z przepisami rytuałem. Marszałek Pétain, najpopularniejszy wówczas człowiek Francji, odwoływał się do — honoru niemieckiego żołnierza. Jeden z wiceadmiratów zламаł uroczyste swą szpadę na kolanie, gdy reprezentanci Wehrmachtu stanęli u jego drzwi. Nie pomyślał jednak o celowości wydania rozkazu podpalenia — w porcie, którego był dowódcą — zbiorników z ropą i benzyną, składów broni i sprzętu, które Niemcy znaleźli zgodnie z inwentarzem.

O ile klęska militarna Francji przybrała od pierwszego dnia ofensywy niemieckiej oszalałymi rozmiary i tempo, o tyle podstawy państwowości francuskiej — ciągłość władzy, rzetelność i autorytet administracji, zaufanie obywatela do porządku prawnego — nie zламаły się zupełnie. Maszyna państwowa jeździła pod ciosami z zewnątrz zacięła się tu i ówdzie pod presją praw życia i technicznych ułomności, ale nie stanęła nigdzie ani na chwilę. Tylko dwóch prefektów, na których terytorium wkroczyły wojska niemieckie, opuściło swe miejsce urzędowania. Zostali oni natychmiast przeniesieni w stan spoczynku. Kilkomilionowa fala uchodźców ze wschodniej Francji i Belgii, których samochody odróżniały się od miejscowych materacami poprzęzowanymi do dachów, (spać trzeba na czymś i ponoć chroniło to od odłamków), ewakuacja rządu do Tours, a następnie do Bordeaux, bezładny ruch jednostek wojskowych ciągle się wzajemnie szukających i inne normalne objawy dezorganizacji tyłów (co prawda pojęcie tyłów przestało od dawna cokolwiek znaczyć), to wszystko składało się na niemały chaos. Chaos ten jednak kotłował się w solidnych ramach państwowości francuskiej i stosunkowo łatwo i szybko był opanowywany. 18 i 19 czerwca w Brest, atakowanym nadal z powietrza, gdy zcolożyli niemieckie były o parę godzin drogi — w ogromnym porcie, z którego poprzedniego dnia załadowali się ostatni żołnierze brytyjscy, pozostawiając za sobą góry amunicji i sprzętu oraz kilometry pojazdów mechanicznych, zapchanym wojskiem i uchodźcami — wszystkie biura funkcjonowały normalnie, policjanci regulowali ruch na ulicach jak gdyby nigdy nic, listonosze roznosili listy, kelnerzy w białych fartuchach obsługiwali klientów, kanceliści rejestrowali akta, sklepy były otwarte, bez tłoku, ceny nie poszły w górę ani o centyma, stacje benzynowe (o upiorze Krzemienia i Kut! a kysz, a kysz!) były otwarte, a w bistro wymyślano Anglikom, nie robiąc jednak gwałtu.

W Brest — dokąd dostaliśmy się 18 czerwca z grupą około 80 oficerów i szeregowych Brygady Podhalańskiej samochodami brytyjskimi, faszynami bez trudu (systematycznie alianci zostawili nawet klucze od motorów w zamkach), z zamiarem przedostania się do Wielkiej Brytanii — miałem szczęście grażca, któremu wychodzi numer, na który postawił ostatni żeton en plein. W porcie nie było już ani śladu bandery brytyjskiej. Władze francuskie odpowiadały na nasze zabiegi wzruszeniem ramion. Dramatyczna łatanina w poszukiwaniu jakiegokolwiek pływającego tworu, na którym moglibyśmy „naparzyć” w porcie, nie dawała rezultatu. Sytuację uratowało szczęście i major Nowiński. Były elew Ecole Supérieure de la Guerre, doskonale mówiący po francusku, opanowany i energiczny, dowiedziawszy się, że w którymś z odległych basenów zjawił się kontrtorpedowiec brytyjski, potrafił go odszukać i uzyskać od kapitana pozwolenie na załadowanie wszystkich Podhalań. Kontrtorpedowiec ten przybył do Brest, aby wysadzić na ląd dwunastu saperów z zadaniem podpalenia wielkich jak kamienie zbiorników z ropą i benzyną. Zabrali się oni do dzieła z prawdziwą maestrią i wkrótce całe niebo i port okryły się łuną. Tylko sześciu z nich powróciło na okręt. Tymczasem leżeliśmy na pokładzie okrętu „Brooke” (który przepadł w 1943 na Morzu Śródziemnym). Ciasno było i twardo niemożliwie. Dostaliśmy zaraz grzącej herbaty, ale brak pasów ratunkowych dla nieprzewidzianych pasażerów nie tworzył przyjemnych perspektyw podróży. Mieliśmy już jak najlepsze wspomnienia z pierwszego kontaktu z wojskiem i marynarką brytyjską w Norwegii. Podhalań nie mogli się nadal nadziwić, że na kontrtorpedowcu, w sytuacji wybitnie frontowej, nie było nigdy słyhać podniesionego głosu.

Dziewiętnastego rano opuściliśmy wreszcie brzeg francuski. Normalnie podróż do Anglii trwałaby cztery godziny. Po drodze jednak nasz kapitan wykonywał jakieś niezrozumiałe dla nas zadania. Jedynie, które było oczywiste, była to długa wymiana sygnałów z dwoma francuskimi okrętami podwodnymi, które, będąc w naprawie w jednym z portów brytyjskich, otrzymały rozkaz powrotu do Francji. Oba były holowane i niezdolne do zanurzenia. Kapitanowie francuscy mieli swoje rozkazy — a nasz kapitan swoje. Musiały być sprzeczne, bowiem po półgodzinnej argumentacji działa naszego kontrtorpedowca przesunęły się półkolisto i na tyle znacząco, że holowniki wraz z okrętami podwodnymi zawróciły z powrotem do Anglii. Eskortowaliśmy je złotym tempem i ze strachem wielkim, że nadleżą Niemcy.

Po 36 godzinach przybliżyliśmy do portu Plymouth. Nasz kapitan uprzedził władzę portowe o naszym przybyciu. Na moło stało kilka wojskowych ciężarówek i dwóch bardzo do stojnych jegomościów w granatowych mundurach, suto wyszywanym srebrem i z białymi otokami na czapkach. „Ani chybi muszą to być oficerowie któregoś z pułków brytyjskich, którzy przyszli nas powitać — mówili Podhalań — może nawet są z gwardii?” Panowie w białych otokach byli co prawda tylko sanitariuszami Ochotniczej Brygady Ambulansów św. Jana (tacy znacznie ubożsi, i z tych gorszych, krewni naszych Kawalerów Maltańskich), ale mieli kieszenie wypchane papierosami i domagali się koniecznie, by ktoś z nas zechciał być chorym. Ciężarówka zawiozła nas do wspaniałych koszar Royal Marines (specjalny, wyborowy korpus piechoty i artylerii morskiej wchodzący w skład marynarki wojennej), gdzie wartownik na widok naszych oficerów wykonał niezwykle skomplikowane i efektowne „prezentuj broń” przy akompaniowaniu takiego tupania. Ze się nasz podporucznik-farmaceuta spłoszył. Po chwili zaprowadzono nas do ogromnej hali, gdzie jak na komendę przetrzaskaliśmy oczy. Widok jak w bajce! Kilkanaście stołów przykrytych śnieżnymi obrusami, zastawionych stosami sandwiczów (lorud Sandwich, pierwszy lord administracji w XVIII wieku, przeszedł do historii jako wynalazca wkładania płatu mięsa pomiędzy dwa płaty chleba), ciastek i kiełbasek. Kiełbaski miały jeszcze w sobie mięso, które miało wkrótce z nich zniknąć aż po dzień dzisiejszy. Co się kładzie w nie zamiast mięsa, pasjonuje Brytyjczyków również do dziś dnia. Obok stały blaszane kadzide z herbatą, takich rozmiarów, że można by z nich napoić parowóz. Ale to jeszcze nie wszystko. Też herbatę rozlewały i roznosili tubylcze panienki. I pięć minut nie upłynęło jak Sarmaci poczęli wybąkiwać szybko zapamiętane — senku — i trzaskać obcasami, co zaraz zostało uznane za bardzo dziwne, ale i bardzo exciting. Po chwili zjawiła się orkiestra i poczęła grać — do tańca. Nasi milusińscy — tak przezywano jeszcze we Francji zawodowych oficerów, polskich — zaraz zwrócili uwagę, że z tradycją i wojskowym duchem to u tych Anglików coś nie bardzo. Skądże u nich w orkiestrze wojskowej saksofony? A granie do tańca? — gdzież na Boga powaga? will?

Tej nie odczuwało się w Anglii zupełnie. O kilkadziesiąt kilometrów za kanałem zawaliła się Francja i Europa, Niemcy lada chwila się pewnie wylądują na wyspie, Churchill zapowiedział narodowi okres „cierpienia i znoju, łez i krwi”, ale ulice i domy brytyjskie, ludzie je zamieszkujący, ani na chwilę nie stracili beztroskiej pogody ducha i nie zmienili w niczym swego trybu życia, swych nawyków, przyzwyczajzeń i dziwactw.

O niezrównanym „morale” Brytyjczyków w 1940 napisano już tomy i wyczerpano superlatywy wielu języków. Jest w tym, jak mi się wydaje, dosyć zasadnicze nieporozumienie. Pojęcie, które na ogół zgodnie się tym mianem określa, odnosi się do czegoś, co z istoty rzeczy winno być świadome. Tymczasem, z wyjątkiem małej i ekskluzywnej grupy liderów, którzy mieli w ręku wszystkie elementy sytuacji, w jakiej znalazła się Wielka Brytania i którzy podejmowali w jej imieniu decyzje, masa narodu brytyjskiego nie była naprawdę głęboko świadoma grozy swego położenia. Nie dlatego, aby cokolwiek z podstawowych jego elementów było dlań niedostępne lub zatajone. Po prostu dlatego, że Brytyjczycy posiadają tylko minimalną dozę wyobraźni i nie chcieli być świadomi tej grozy. Nie przyjęli do wiadomości faktu, że znaleźli się sami, z bardzo ograniczonymi środkami, w obliczu przeciwnika tej miary co Niemcy.

Brytyjczycy są tak zarozumiali, że mogą sobie pozwolić na skromność, tak pewni siebie, że mogą stosować inną miarę do swoich, a inną do cudzych życiowych interesów, mają takie zaufanie do swego geniuszu politycznego — którego istnieniu zgodnie zaprzeczają, — że uważają za normalne nadawać swym decyzjom politycznym inne miano i pod innym na nie patrzeć kątem widzenia niż inne narody z tego samego pnia kulturalnego wyrosłe. Przeciwnemu Brytyjczykowi nie przychodziło do głowy w 1940 r., że Wielka Brytania może przegrać wojnę. Zapytany, dlaczego tak sądzi — wzruszał ramionami. Nie mówił, że dlatego, że flota, że lotnictwo, że Rosja, że Stany Zjednoczone, nie używał argumentacji rzeczowej. Ta należy do zadań i kompetencji liderów, których sobie obrała naród brytyjski. Nie uważa ich za geniuszy, czy ludzi wybitnie w tym kierunku kwalifikowanych, przeciwnie, spodziewa się u nich tych samych wad i słabości, jakim sam ulega. Żąda od nich uczciwości intelektualnej, a może raczej po prostu stosowania ze spokojnym uporem zdrowego rozsądku (common sense) w interesie Wielkiej Brytanii, który przez okres ostatniego pokolenia rozszerzył się na Brytyjską Wspólnotę Narodów, a dzisiaj na English speaking world (część świata mówiąca po angielsku).

Decyzja stawiania samotrzeć czoła Niemcom w 1940 r. mogła się wydawać podówczas „wzruszającym obserwatorem „romantyczną”, mającą swe źródło w pierwiastkach irracjonalnych, w przeciwieństwie do zimnej kalkulacji politycznej. Mogłoby się tak wydawać tym bardziej, że ubrano ją w formę patetycz-

na, a wspaniały mistrz słowa i wielki aktor Churchill potrafił jej dać znamiona prawdziwej wielkości. Lecz poza spiszową fasadą mniej lub więcej autentycznych zasad i porządkujących hasła stała, i to na wcale pokazującym miejscu, trzeźwa i chytra ocena szans i możliwości. Lotnicy brytyjscy nie przewyższali niemieckich ani bohaterstwem, ani umiejętnością walki, ani jakością maszyn. Przewaga ilościowa lotnictwa niemieckiego była, być może, skompensowana w pewnej mierze wybitniejszymi intelektualnymi brytyjskimi na najwyższym szczeblu dowodzenia lotniczego z marszałkiem, dzisiaj lordem, Portalem na czele.

Rozpoczął on swoją karierę wojskową jako goniec motocyklista w 1915 r. Lecz Churchill i jego ścisły sztab znali wszystkie możliwości jednego wynalazku, jaki odegrał decydującą rolę w tej wojnie i który Brytyjczycy pierwsi doprowadzili do doskonałości: radaru czyli radiolokacji, bez którego nie byłoby wygrali tak bezapelacyjnie battle of Britain, lipiec — wrzesień 1940. Trafnie również oceniły najwyższe czynniki brytyjskie prawdziwą wartość bojową włoskiego przeciwnika. Na froncie afrykańskim Włosi mieli na lądzie i morzu silną przewagę nad Brytyjczykami w sprzecie i w ilości żołnierza. W pierwszej fazie operacji w Abisynii stosunek sił włoskich do brytyjskich był jak 10:1 na korzyść Włochów. Flota włoska miała wszędzie potencjalną przewagę i pomimo ogromnej wyższości Royal Navy w taktyce i technice miała ona zupełnie realną szansę praktycznego wyeliminowania krzyża św. Jerzego z Morza Śródziemnego.

W dniu 10 czerwca 1940, dniu wypowiedzenia przez Włochy wojny Francji i Wielkiej Brytanii, na Malcie były tylko trzy samoloty, przestarzałego typu, dwupłaty „Gladiator”. Wszystkie trzy były jeszcze rozmontowane, w skrzyniach. Przez pierwsze dni wojny, nie pamiętam dokładnie jak długo, te trzy maszyny, wydobyte ze skrzyń, stanowiły jedyną powietrzną obronę przeciwlotniczą Malty. Zostały przez mieszkańców nazwane „Wiara”, „Nadzieja” i „Miłość”. Dwie z nich zostały stracone, trzecia jest dzisiaj w muzeum. Włosi po prostu od zwykłego żołnierza aż do góry, nie chcieli się bić, nie chcieli zdobywać ani budować nowego imperium rzymskiego. Ich sympatie były raczej po stronie wroga a nie sojusznika.

Badania historyczne wykazały wkrótce, do jakiego stopnia Wielka Brytania mogła się liczyć i liczyła się w 1940 r. z pomocą, a z czasem i z braterstwem broni Stanów Zjednoczonych. Okazuje się, przypuszczam, że prezydent Roosevelt odegrał rolę znacznie większą niż go o to, nawet w Ameryce, podejrzewano. Wielka Brytania również od samego początku wojny liczyła się konkretnie z automatycznym pozyskaniem alianta w Związku Radzieckim, zmuszonym do samoobrony. Decyzja zatem „bronięcia się na ulicach i placach, z za każdym kawałkiem węgla i na każdym miejscu” i odrzucenia całkiem ponętnych i konkretnych pokojowych propozycji niemieckich nie była znowu tak bardzo „romantyczna”. Miała bardzo realne podstawy. Bieg historii wykazał jej słuszność.

Nie znaczy to bynajmniej, aby w stanowisku „obroncy praw boskich i ludzkich”, jakie zajęła w 1940 roku Wielka Brytania, nie było szczerzego przekonania i wiary w słuszność broniących ideałów. Byłoby to potwierdzeniem oklepanej i właściwie niesłusznej tezy o hipokryzji Anglików. Oni nie są hipokrytami. Oni widzą prawdę nieco inaczej niż my, są niezdolni widzieć ją inaczej, a co gorzej nie chcą i nigdy nie zechcą. Chyba, że przestaną być Brytyjczykami. Anglicy nie lubią i nie cenią dialektyki, a argumentację uznają tylko taką, za którą stoi żywe życie. Chciałoby się tu dodać: ich własne życie. Nieraz tak wygląda, ale nie zawsze jest to prawda.

Decyzja brytyjska w r. 1940, powzięta jednomyślnie i bez dyskusji przez parlament, rząd i naród, była wypadkową szczerzego przekonania, że Wielka Brytania stała się okopami Świętej Trójcy wolności człowieka i niezwykle trafnej interpretacji interesów świata anglosaskiego. Decyzja ta była tym łatwiejsza do powzięcia, że na jej korzyść działały wszystkie podświadome kompleksy, przesady i upodobania angielskie. Nie można rokować ani współżyć z Hitlerem, który nie okazał się gentlemanem. Naród, nad którym taki człowiek panuje, nie może być (przynajmniej) aż do odwołania) narodem gentlemanów. Wniosek z powyższego rozbudziłby od razu animus wojenny w każdym poddanym króla Jerzego, gdyby tylko ten poddany był zdolny odczuć i przeżyć coś podobnego do animuszu. Te podniety emocjonalne nie są mu potrzebne. Podobnie jak nie używa on słowa ani pojęcia patriotyzmu w kontynentalnym jego znaczeniu. Wystarczy mu, że robi swoje, a robi to bardzo dobrze.

Pod tym względem różnica między mentalnością polską i brytyjską jest ogromna. W urzędowym wydawnictwie admiralacji brytyjskiej, opisującym, w dwa lata po jego zatopieniu, czyny najbardziej znanego lotnikowca „Arc Royal”, jest między innymi obszerna wzmianka o brawurowym wypadzie jego samolotów torpedonowych na jeden z najlepiej broniących portów włoskich. Wzmianka ta kończy się następującą apoteozą: „Lotnicy, po szczęśliwym wykonaniu zadania i wylądowaniu z powrotem na pokładzie „Arc Royal”

dowiedzieli się z radością, że okrętowa kotka została matką siedmiorga doskonale się zapowiadających kociąt”. Nasza prasa wojskowa zakończyłaby podobną wzmiankę mniej więcej tak: „Nasi skrzydlaci rycerze runawszy, dysząc świętą zemstą, niczym orły podniebne na wraże okręty dowiedli raz jeszcze, że niezłomna wola zwycięstwa” itd.

Jakże słusznie pisał w r. 1943 Karol Zbyszewski: „Brytyjczycy mówią o sobie: do businessu to my mamy jeszcze jaką taką głowę, ale na wojnie to jesteśmy zupełnie do niczego. Brytyjczycy od lat dwustu prowadzili wiele wojen. Wygrali wszystkie, z wyjątkiem jednej, przeciwko swym własnym koloniom w Ameryce w r. 1773. Polacy mówią o sobie: „Co jak co, ale na wojaczce to się znamy jak mało kto”. Polacy od lat dwustu prowadzili wiele wojen. Przegrali wszystkie, z wyjątkiem jednej w r. 1920”.

Ta część wojska polskiego, która zdołała się wyewakuować z Francji do Wielkiej Brytanii, została skoncentrowana w Szkocji, początkowo na zachodnim wybrzeżu w okolicach Glasgow, nieco później, po reorganizowaniu w dwie jednostki o pełnej wartości bojowej (1 Brygada Strzelców pod dowództwem gen. Paszkiewicza i 10 Brygada Kawalerii Pancernej pod dowództwem gen. Maczka), na wybrzeżu wschodnim, na północ i zachód od Edynburga. Uzbrowienie mieliśmy bardzo mizerne, żadnej broni przeciwpancernej, skąpo broni maszynowej i moździerzy, zupełny brak artylerii, nie mówiąc już o niezliczonych brakach w sprzecie i wyposażeniu wojskowym. Gorączkowe przygotowania, do celu podniesienia, a raczej stworzenia na nowo wartości bojowej polskiego alianta na lądzie, musiały w warunkach ubóstwa broni, w jakich znalazła się Wielka Brytania, mieć charakter łataniny i improwizacji.

Z Plymouth moja grupa odjechała do Glasgow, gdzie na terenach po wystawie imperialnej w r. 1938 stały namioty i mieścił się punkt zborny wojska polskiego. Półtoramilionowe Glasgow, największe miasto po Londynie i drugi port brytyjski, o sławnych na cały świat stoczniach i domach handlowych, jest bardzo bogate i tak brzydkie i ponure, że jego widok zapłodziłby wyobraźnię Rimbauda. Tysiące rzędów bliźniaczych kamienic i dwupiętrowych ruder o niedomytych oknach, pokierszowanych węglach, drzwiach i kominach, to wszystko koloru sadzy, mokrej ściereki, więziennej kawy i karalucha, pod niebem zawsze niskim, zawsze pokrytym chmurami, z których przez cały rok śpią lodowaty deszcz; jego monotonia przerywana jest tylko raz po raz rześką ulewą. Rozbudowane głównie podczas dziewiętnastowiecznej prosperity chłubi się w centrum miasta ogromnymi budynkami o architekturze wołającej o pomstę do nieba. Ucieleśniają one ohydę burżuazyjnego smaku epoki ich powstania. Kosztowne były wszystkie, nad wyraz, w ich koszarnej ornamentacji nie skąpiono najprzedniejszego budulca ani pracy. Zaiste, nędza nigdy nie była i nie będzie mistrzynią sztuki i nauk ani pożywką kultury — ale jakich spustoszeń potrafi dokonać wielki pieniądz użyty w dobrej wierze, ale w fatalnej koniunkturze estetycznej, tego Glasgow jest odstrasającym przykładem.

Przybycie Polaków wywołało sensację nie lada. Nigdy dotychczas nie widziało Glasgow czegoś równie egzotycznego. Różne koleje wojen brytyjskich i potrzeb imperialnych sprawdzały od czasu do czasu na jego ulice reprezentantów wojsk dominialnych, kolonialnych, hinduskich, ale Polacy — how very exciting! Nikt już nie pamiętał, że nie po raz pierwszy widziano na ziemi szkockiej polskie mundury. Co prawda nie w Glasgow, ale w Edynburgu, gdzie gościli w r. 1919 w drodze z Murmańska do kraju. Nikt nie pamiętał również sensacji wzbudzonej wówczas na Princes street nie przez oddziały polskie co prawda, ale przez białego niedźwiedzia, który defilował razem z nimi. Pozostał on na zawsze w literaturze polskiej jako Baśka Murmańska. Wzmianki o niej istnieją w archiwach prasowych biblioteki miejskiej w Edynburgu.

W Glasgow grupa Podhalań natknęła się na swych towarzyszy broni z Norwegii. Były to muły, rodem z Marokka, których kilkaset przydzielono do Brygady celem wykazania, że ma mieć ona coś wspólnego z wojskami górskimi. Kłopotów było z nimi co niemiara. Nie znosiły podróży morskich, załadowanie na kutry rybackie, które były naszym głównym środkiem komunikacji, wymagało długich perswazji; wierzgały i kasały skrycie i złośliwie, a przy lada okazji uciekały w góry okalające fiordy, gdzie co prawda nie miały co jeść, ale gdzie czuły się bardziej swojsko. Zapach ich, zwłaszcza w czasie wspólnej podróży stankami, był intensywniejszy nawet od znanej wszystkim sprzymierzeńcom Francuzów „odeur du combattant”. W podróży powrotnej z Norwegii część zwierząt pozostawiono w Glasgow. Jako nasza własność znalazły się w tym samym zaimprovizowanym obozie. Widząc je, prowadzone przez ulice miasta, glosowanie dziwowali się przychylnie i orzekli, że to pewnie ta sławna polska kawaleria.

Otworzyła się osobliwa era „okupacji polskiej” w Szkocji, która miała przybrać charakter serdecznego symbiozy i trwać przez cztery lata aż do wyruszenia I Dywizji Pancernej, w lecie 1944, do Normandii, na inwazję kontynentu. Jeszcze dzisiaj jest w Szkocji wiele tysięcy Polaków, w mundurach lub po cywilnie,



ZYG MUNT SITNICKI

## Sienkiewicz a „Troilus i Kressyda” Shakespeare'a

Warto zwrócić uwagę na kilka ciekawych przykładów zależności literackich Henryka Sienkiewicza od geniuszu wielkiego dramaturga brytyjskiego, Williama Shakespeare'a.

Najpierw przykład z „Trylogii”. Oto waleczny i kochliwy imię pan Michał Wołodyjowski wygłasza w pewnej chwili następującą sentencję: „...nigdy mi wzajemnością nie wyptacono. Gdyby nie to, nie byłoby wierniejszego nade mnie Troila” (Potop, cz. I, rozdz. IX). Warto zbadać, skąd pochodzi postać Troila i opinia o nim jako najwierniejszym kochanku.

Z „Iliady” wiadomo, że Troil był jednym z licznych synów króla trojańskiego Priama. Księga XXIV epepe zawiera następującą (jedyną) wzmiankę o tym młodzieńcu, włożoną w usta zrozpaczonego ojca:

Dzielny Master i Troil, z wozu walczyć biegły...  
(przekł. Fr. Ks. Dmochowskiego).

Jak widzimy, Troil jest u Homera wyjątkiem tegim woźnicą i niczym więcej.

Podobnie uboczną wzmiankę o Troilu spotykamy także u Wergiliusza w ks. I „Eneidy” (w opisie płaskorzeźb świątyni kartagińskiej):

„Owdzie, zbroję straciwszy swoją, Troil miły,  
Biedny młodzian, niezdołen z Achillem bieć  
w starcie,  
Nieslon kołmi, tkwi w wozie pochyły, uparte  
Dzierżąc wodze, — w kurzawie kędziory mu toną  
I kark, ziemię zaś orze włóczynią odwróconą”  
(przekł. T. Karyłowskiego).

W innych źródłach klasycznych nie znajdujemy również nic, co by dawało podstawę do wyobrażenia sobie Troila jako romantyka w miłości. Skąd zatem ów motyw u Sienkiewicza?

Nie ulega wątpliwości, że źródło jego zawiera się w znanym dramacie Shakespeare'a pt. „Troilus i Kressyda”.

Jak wiadomo, poeta angielski w tym niezwykle ciekawym psychologicznie dramacie wydrwił w sposób niemiłosierny to wszystko, co przywykliśmy nazywać „światem romantycznym” w średniowieczu. Cóż to jest bowiem ten „świat”? „Nowe uczucia i wyobrażenia”, powiada Mickiewicz — samym barbarzyńczo właściwe, tak nazwany duch rycerski i z nim połączony szacunek i miłość ku pięci pięknej, Grecji i Rzymianom obcy, ścisłe przestrzeganie praw honoru, uniesienia religijne, podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich, dawniejszych pogan i nowocześniejszych chrześcijan pomieszane razem: oto jest, co stanowi w wiekach średnich świat romantyczny, którego poezja zowie się też romantyczną” („Przemowa” do I tomu „Poezji” z 1822 r.).

Otóż na wszystkim tym Shakespeare nie pozostawił suchej nitki!

„Weny satyrycznej i gorzkiej ironii — powiada L. Piniński — jest, co prawda, dużo w tym dramacie, ale ten sarkazm nie odnosi się właściwie do Iliady. Dotyczy on raczej dwóch motywów akcji, bardziej ogólnych i Shakespeare'owi bliższych; poeta szydzi istotnie w Troilusie i Kressydie, lecz nie tyle z Greków i Trojan i nie z wielkiego barda wojny trojańskiej, jak raczej z dwóch tematów, przez wielu poetów i przez niego też samego nieraz opiewanych: z pojęć rycerskości średniowiecznej i z uczucia miłości. Rycerskość — co prawda, nie w stylu homerowskiego bohatera, lecz wedle wzorów średniowiecznych — reprezentuje nam Hektor; uczucie miłości — najmłodszy syn Priama, Troilus. Tu i tam zupełne flakso jest rezultatem ich uniesień i zabiegów. Hektor zostaje w najhalebniejszy sposób, wbrew wszelkim zasadom rycerskiej walki, podstępnie zamordowany przez Mirmidonów Achillesa w chwili, gdy jest bezbronna, a Troilus darzy płomienną miłością i stałością przedmiotem zgola niegodny tych uczuć — płochą Kressydą, która, oddana w zamian za jeńca trojańskiego do obozu Greków, gdzie jej ojciec Kalchas przebywa, zaraz nazajutrz po nocy miłosnej z Troilusem spędzonej, i tysiącznych przysięgach wierności, prostytuuje się z greckimi wojownikami. Rycerskość, jedyna wyższa i prawdziwa w sztuce (Hektora), ginie marnie i bez chwały, płomienna zaś miłość (Troilusa) zostaje zhańbiona i wystawiona na pośmiewisko” („Shakespeare”, Lwów, 1924, cz. I, str. 483).

Nie będziemy się na tym miejscu zastanawiali nad pobudkami natury psychologicznej, które skłoniły wielkiego dramaturga do tak śmiałej próby przewyżnienia tkwiącego w nim pierwiastka „romantycznego”. Wystarczy nam na razie stwierdzenie, że właśnie na typowego reprezentanta miłości i wierności romantycznej obrał on sobie nie znaczącą u Homera i Wergiliusza postać młodego królewicza i — jako takiemu — kazał mu przejść do historii:

„W późnej przyszłości wierni kochankowie  
Będą przysięgać wierność na Troila;  
Gdy ich poezji, pełnej strasznych przysięg,  
Wielkich oświadczeń, nie stanie porównań,  
Kiedy już stare znużą się przysięgi:  
Wierny jak kwiaty wierne księżycowi,  
Jak dntowi słońce, gołąb gołębiczy,  
Srodkowi ziemia, a stal magnesowi, —  
Jeszcze po wszystkich wiary porównaniach  
Na przysięg swoich ostatnie stwierdzenie  
Dołożę w końcu: wierny jak Troilus,  
I tym nazwiskiem słowo swe uświecę”  
(a. II, sc. 2; przekł. L. Ullricha).

Zaznaczyć wreszcie należy, iż Shakespeare zgotował swemu bohaterowi śmierć mniej poetyczną niż Homer i Wergiliusz. „Troilus” — powiada on gdzieś indziej — zdruzgotaną miał czaszke od greckiej maczugi; poprzednio jednak robił, co mógł, aby umrzeć z miłości, bo to jeden ze wzorowych kochanków” („Jak wam się podoba”, a. IV sc. 1)...

— No, dobrze — wtrąci czytelnik. — Czy jednak z tych wszystkich „subtelnych” wywodów naukowych wynika, że Wołodyjowski istotnie czytał Shakespeare'a? Przecie to niemożliwe!

— W zasadzie nie jest to znów tak całkiem niemożliwe. „Sławna historia Troilusa i Kressydy, doskonale wyrażająca początek ich miłości, wraz ze zręcznym pośrednictwem Pandarusa, księcia Licji, napisana przez Williama Shakespeare'a”, ukazała się w Londynie w 1609 r., mogła zatem w połowie XVII w. dotrzeć jakimś cudem do Polski. Niestety jednak, imię pan Michał, oprócz kuchennej łaciny, na pewno nie znał żadnego innego języka obcego, a o polskich przekładach Shakespeare'a nikomu się wówczas nie śniło! Mógł on, co prawda, zasłyszeć coś o Troilu od nie mniej kochliwego swego przyjaciela, Kettinga vel Hasslinga of Elgin, Szkota, pozostającego na służbie u Radziwiłłów. Najprawdopodobniej atoli rzecz się miała tak, jak się bystry czytelnik od dawna domyśla: po prostu Sienkiewicz, zapalony wielbiciel Shakespeare'a, włożył nieopatrnie w usta swemu bohaterowi porównanie, które w opisywanych w „Potopie” warunkach historycznych było zupełnie nie na czasie.

Drugi przykład zastosowania tegoż motywu znajdujemy w „Quo vadis”. Oto Petroniusz, przedstawiając w rozdz. XIV Wincjusza Neronowi, powiada o swym pupilu: „On jest zakochany jak Troilus w Kressydie”. Tu już sprawa zaczyna się podwójnie gmatwać: że „względem na Troilusa” i że względem na ową „Kressydę”. Mniejsza zresztą o Troilusa, który bądź co bądź figuruje u Homera, a kochliwy mógł być na równi ze swym bratem Parysem. Ale co począć z Kressydą, która jest postacią zgola nieznaną obu literaturom klasycznym? Postać ta („Cressida”) pojawia się właśnie dopiero w cytowanym dramacie Shakespeare'a, dokąd przeszła z poematu G. Chaucera p. t. „Troilus and Criseyde”, przy czym — poza odległym podobieństwem imienia — nie ma ona nic wspólnego z homerowską Chryzeidą (czy Brizeidą). Jak tedy widzimy, Sienkiewicz popiełnia tutaj gorszy anachronizm niż w „Potopie”: także bowiem Petroniuszowi znać utwór pisarza, który... miał się urodzić w z górą półtora tysiąca lat po opisywanej scenie! Nie potrzeba poza tym uzasadniać, że niefortunne uboczne porównanie świetlanej Lygii z frywolną Kressydą nie wychodzi na korzyść jednej z naj-

piękniejszych postaci kobiecych, występujących w literaturze polskiej.

Jeżeli już mowa o „Quo vadis”, to należy stwierdzić, że wpływ „Troilusa i Kressydy” na tę powieść nie ogranicza się bynajmniej do omówionego wyżej przypadku. Ślady tego wpływu znajdujemy przede wszystkim w charakterystyce Chilon Chilonidesa, przypominającego wyraźnie sylwetkę duchową z jednej strony Tertytesa, z drugiej — Pandarusa z dramatu Shakespeare'a. Co prawda, Sienkiewicz, mówiąc w rozdz. XIII o Chilonie, usiłuje skierować uwagę czytelnika na inne źródło wpływu: „Petroniuszowi — czytamy — na jego widok przyszedł na myśl homerowy Tertytes...”. Aliści demoniczny garbus z „Iliady”, pomyślany raczej jako typowa personifikacja chwilowego fermentu rewolucyjnego w obozie greckim, był postacią zbyt mało zindywidualizowaną i zbyt epizodyczną, aby mógł się nadawać na wzór do pełnego realizmu wizerunku filozofa i rajfura, cynika i tchórza, jakiego przedstawia nam Sienkiewicz. Wspomniane natomiast postaci shakespeareowskie: Tertytes i Pandarus, dają właśnie w połączeniu sumę tych wszystkich cech, które można z łatwością odszukać w figurze sienkiewiczowskiego Chilonie. Wchodząc na tym miejscu w szczegółową analizę porównawczą odpowiednich postaci, chcemy zwrócić uwagę na kilka tylko znamienych analogii tekstualnych pomiędzy obu utworami, przemawiających wymownie na korzyść naszej hipotezy.

Tak więc Senecjo w rozdz. LVI określa filozoniję moralną Chilonie w następujących słowach: „Nie on winien, że zamiast serca ma w piersiach kawał sera”. Wypowiedź ta przypomina do złudzenia podobną charakterystykę Tertytesa, dokonaną przez Achillesa w a. II sc. 3 dramatu: „Mój ty serce moje trawidło, dlaczegoż to przez tyle obiadów nie zastawiłeś się na moim stole?”.

W tymże rozdziale Chilon, odcinając się Senecjonowi, powiada: „Gdybym ciebie w nią (t. j. w sieć) zwoił, zwoiłbym cuchnącego dudka”. Sztyderstwo to wyjęte jest po prostu z ust Tertytesa z tej samej sceny dramatu: „Agamemnon jest dudkiem, bo chce rozkazywać Achillesowi; Achilles jest dudkiem, bo słucha rozkazów Agamemnona; Tertytes jest dudkiem, bo służy takiemu dudkowi, a Patroklos jest dudkiem bezwzględny”.  
Niżej znów nieco (rozdz. LIX) Neron w następujący sposób drwi z Chilonie: „Czego się ty boisz, zmurszała bedko?” Kubek w kubek tak samo Ajaks w a. II sc. 1 dramatu mianuje Tertytesa „złą bedką”...

Wreszcie ostatnia analogia. Oto Petroniusz w rozdz. XV wygłasza maksymę, że „wojna i miłość są dwiema jedynymi rzeczami, dla których się rodzi i żyć warto”. Maksyma ta przypomina na opak podobną sentencję Tertytesa: „Rozpusta, rozpusta! Cagle tylko wojny i rozpusta; ona tylko jedna zawsze w modzie. Bodaj pałacy diabeł je porwali!” (a. V sc. 2). Nie potrzeba dodawać, że shakespeareowskie potępienie „romantyzmu”, przebiegające w tych słowach, nie znajduje żadnego odbicia w naiwnie hedonistycznym stanowisku Sienkiewicza, zaznaczonym w cytowanej maksymie. Świadczy to, że autor „Quo vadis” nie rozumiał tendencji filozoficznej „Troilusa i Kressydy”.

Zygmunt Sitnicki

## Wśród książek

Pamiętnik Instytutu Śląskiego, II. Kazimierz Popiołek. Trzecie śląskie powstanie. Katowice, Instytut Śląski, 1946; str. 216 i 2 mapy.

Dr Kazimierz Popiołek podał zarys przebiegu powstań śląskich, o dwóch pierwszych pisząc tylko tyle, ile było trzeba dla podmalowania ich, w trzecim zajął się natomiast pobieżnie opisem działań wojennych, całą wagę skierowując na ocenę jego politycznego znaczenia.

Zadanie miało trudne. Dotychczasowa literatura przedmiotu jest bardzo stroniła i przynosi przeważnie wspomnienia uczestników poszczególnych walk, z apoteozą lub oskarżeniem dyktatora powstania, Wojciecha Korfańtego. Dr Popiołek nie mógł na podstawie dostępnych mu źródeł wiele jeszcze spraw dostatecznie wyjaśnić (np. zastąpił powzięcia decyzji powstańczej, gry zakulisowej alianców, z których wyraźnie sprzyjała powstańcom Francja, a ostro zwalczała ich Anglia). Staraj się jednak wyrobić sobie sąd obiektywny i sumiennie zbierać materiał dowodowy. W ich świetle Wojciech Korfańty wyrasta na poważnego męża stanu, a sam zryw ślązaków budzi szczerzy szacunek.

W ciągu dwu i pół lat chwytają śląscy Polacy trzykrotnie za broń, nie zrażając się Księską pierwszego powstania, ani niezbyt pomyślnym wynikiem plebiscytu po drugim powstaniu. Przeciwnie, upór ich i wola zwycięstwa jeszcze rośnie. W powstaniach śląskich wzięło udział: w pierwszym 15 tysięcy ludzi, w drugim 19 tysięcy, w trzecim 42 tysiące. Straty w trzecim powstaniu wynosiły 794 ciężko rannych i 1218 zabitych. Historyk podkreśla ludowy charakter powstań śląskich, których uczestnikami, począwszy od najprostszego żołnierza, a na dyktatorze powstania skończywszy, są prawie wyłącznie górnicy i hutnicy śląscy lub ich synowie.

Dostrzega również, choć tego szerzej nie przeprowadza, charakter społeczny powstań. Powstania były przecież nie tylko wywołane walką narodu przeciw zniemawidzonemu Niemcom, ale równocześnie „buntem uciskanych gospodarzo i społecznie warstw ludności przeciw tym, którzy je uciskali”. Kłamaż uczuciową poważnego studium jest poświęcenie pracy pamięci żony, córki śląskiego powstańca, która poległa w powstaniu warszawskim.

Literatura na emigracji. Antologia „Nowej Polski” pod redakcją Antoniego Słonimskiego. Łódź, „Poligrafika”, 1946; str. 380 i 4 nl.

Okładka wymienia 17 nazwisk współpracowników antologii. W rzeczywistości redaktor Słonimski, pragnąc przedstawić „najpełniej myśl i uczucia pisarzy polskiej emigracji w Anglii”, zebrał ich w antologii więcej. Rzecz jest ujęta w trzy działy: poezji, prozy i publicystyki. Najwięcej miejsca zajęła proza. Przynosi ona obok nowel Prusyńskich, Ksawerowa i Mieczysława, oraz Jana Papugi, znanych nam już z numerów „Twórczości”, nowele Arkadego Fiedlera ze zbioru „Dziękuję ci, kapitanie!” i Janusza Meissnera.

Chętnie czytamy je jednak raz jeszcze w tym zestawieniu, które daje wszechstronniejsze oświetlenie walk emigracji o Polskę. „Nowa Polska” była w Londynie organem wybitnie literackim, dlatego dział publicystyczny jest uboższy, choć i tu znajdujemy cenne pozycje, jak artykuły Oskara Langgę, Olgierda Górki, samego redaktora antologii oraz szereg ciekawych informacji o życiu Anglii.

Dominiuje w całej antologii motyw tęsknoty za Polską. Jednak silny jest on w rzeźnych drobnych Maril Pawlikowskiej i w poematach Władysława Balińskiego, w lirycznych odczynach Władysława Broniewskiego, jak w protestach Józefa Wittlina czy Juliana Tuwima. Odzywa się on również w prozie Maril Danilewiczowej i Karola Estreichera.

Nostalgia łączy się zawsze z pewną idealizacją „kraju lat dziecięcych”. Nie więc dziwne, że wspomnienia o kraju mają przeważnie rzewną nutę. Czytelnika to ujmują, szuka on jednak głównie wiadomości dla siebie nowych, jak tam żyło się w czasie wojny na emigracji, jakie były polskie sukcesy wojenne, co zyskano na obczyźnie dla budowy lepszej Polski.

Te zainteresowania znajdują w antologii częściowe zaspokojenie. Ciekawe są np. notatki z ostatnich dni wojny Feliksa Topolskiego, uzupełnione rysunkami. Wyraźnie występują dzieje walk w Afryce. Dowiadujemy się też nieco o zagadkach gospodarki planowej i o morale angielskim. Ciekaw jest interesująca i znajdzie wielu gorliwych czytelników, z dawna oczekujących na głosy literatury emigracyjnej.

Stefan Papée

szą liczne obozy i ośrodki wojskowe, ale wspaniale polsko-szkockie straciło z natury rzeczy wiele ze swego uroku i pierwotnego charakteru. Mundur ze skrawkiem czerwonym i napisem „Poland” na ramionach stał się w wielu osadach i miasteczkach szkockich integralną częścią krajobrazu. W 1940 r. oznaczał on jedynego sprzymierzeńca Wielkiej Brytanii, który pozostał jej wierny bez zastrzeżeń i którego synowie przybyli do Szkocji, aby jej bronić przed niemiecką inwazją. A inwazja ta wydawała się możliwa, prawdopodobna, niemal nieunikniona. Polacy przygotowywali się do niej równie serio jak Brytyjczycy. Złe uzbrojenie — właściwie garstka ich tylko — w całości obcym kraju, którego nazw miejscowości, których mieli bronić, wymówić porządnie nie umieli, mieli głębszą świadomość niż szkoccy gospodarze, że, o ile Niemcy wylądują en masse, nic im nie pozostanie, chyba tylko próbować jak najdrożej sprzedać życie. Ze szkockich wybrzeży jedna tylko ewakuacja była możliwa: do niewoli, lub na tamten świat. Szkoci widzieli i podzielali tę naszą szczerą determinację i wdzięczni byli w swych prostych, wyższymi względami jeszcze nieskalanych sercach. Wkrótce utarło się powiedzenie: our Poles (nasi Polacy). Szkoci, dla których każdy Polak, który z nimi te lata spędził, nie może nie czuć sympatii, są zbyt prostolinijni, aby te więzy przyjaźni, które nawiązała wojna, mogły się przedzierżnąć w niechęć. Ale prawo życia musiało sprawić, że ci, którzy w r. 1940/41 byli miłymi towarzyszami wspólnej doli i niedoli, dzisiaj stali się czymś pośrednim pomiędzy nieproszonego gościem a ubogim i wścibskim krewnym.

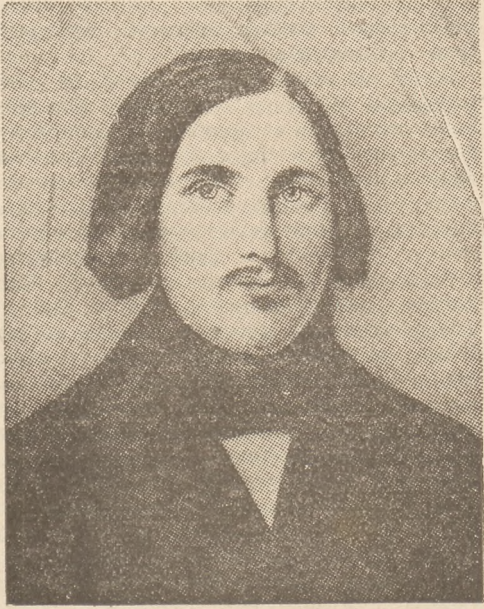
Z początkiem lipca 1940, skoro z zaryglowanego przez Niemców kontynentu nic już nie mogło wyciec, po spisaniu N-tej ewidencji, w obozach polskich w Szkocji okazało się, że brak przede wszystkim — żołnierzy, a raczej szeregowych. Odliczywszy oficerów, było ich niespełna dziesięć tysięcy (poza marynarkę i lotnictwo), z czego pewien procent niezdolny do czynnej służby. Oficerów natomiast, wszystkich stopni i wieków, było około 5 tysięcy. Generałów, łącznie z emerytami, jak Haller i Żeligowski — czterdziestu. Lekarze wojskowi dokonywali cudów, trzeba było nie mieć ręki lub nogi, żeby wypaść z kategorii A. Jeden z moich kolegów, sierżant rezerwy, krótkowidz, nie mogący zasnuwać sobie butów bez okularów, bał się, że go komisja zechce zwolnić z czynnej służby. Szkoa jego miała 7/2 dioptrii. „Wiele macie dioptrii” — zapytał go kapitan lekarz. „3 i 1/2” — ześlą natychmiast sierżant. Pokażcie no szkła! Popatrzysz pod światło kapitan orzekł kategorycznie: „Nawet nie wiecie jakie macie szkła, najwyżej trzy i pół!”

W obozach w Douglas, Biggar i Crawford rozpoczęło się polowanie na ludzi. Około połowa owych dziesięciu tysięcy to byli podchorążowie i podoficerowie. Każdy, kto nie był oficerem, nabrał wysokiej ceny. A już zwykły strzelec szedł na wagę złota. Oficerowie chcieli mieć czym dowodzić, prosta kalkulacja — im mniej szeregowych, tym mniej posad. Sztabowcy dyplomowani chodzili całymi stadami, od pułkowników, zwanych „leśnymi dziadkami”, aż się roilo. Mnożenie fikcyjnych jednostek, nazywanie kompanii batalionem, batalionu brygadą, szcztatkowe pułki, symboliczne ośrodki zapasowe, powoływanie do życia pierwszych i drugich rzutów, tak czy inaczej wysuniętych, centrów wyszkolenia, szkół podchorążych i podoficerów, kursów szturmowych i doskonalących, oddziałów specjalnych, dowództw fantastycznego autoramentu, kompanii wydzielonych i samodzielnych, grup operacyjnych, biur studiów i komórek planowania, nie mówiąc już o sztabach, w których aż trzeszczało od naszych mózgow wojskowych — to wszystko nie pomogło na dłuższą metę. Fikcja wylaziła na każdym kroku. Nie wpłynęło to natomiast na inflację odznak i dystynkcji. Im mniej było prawdziwego wojska, tym więcej widać było różnokolorowych proporczyków, patek, sznurów przez ramię, znaków rozpoznawczych na rękawach, insygnów, odznak pułkowych i batalionowych oraz wszelkiego rodzaju mosiężnych, oksydowanych i emaliowanych blaszek i świecidełek. Brakowało jedynie pióropuszy, niezgodnych ze sztuką nowoczesnego maskowania w polu. Ostrogi widywało się rzadko, aczkolwiek spotykało się je u motocyklistów.

Jan Meyszowicz

W poprzednim 35 (92) numerze „Odrodzenia” z dnia 1 września 1946 r.: Wacław Kubacki: Pod znakiem epiki. — K. W. Zawadzki: Studia o powieściopisarzy. Eliza Orzeszkowa. — Tadeusz Holuj: Rozejm Jana Mosdorf. — Ila Erenburg (przetłoczyła Zofia Marynowicz): W Ameryce (3). — Mirosław Zutański: Pokój luksemburski. — Mieczysław Dereński: Wos-Budzysz, poeta kaszubski. Rzecz o Janie Karnowskim. — Helena Blumówna: Teatr Tadeusza Kantora. — Stefan Papée: Wśród książek. — Julian Przybós: Z linii widoków. — Hanna Mortkowicz-Oleczkowska: Nekrolog bezimlenny. — Bogusław Kuczyński: Notatki angielskie. — Jaszczyk: Przejąd prasy. — mst i wn: Kronika francuska. — Nagroda literacka. — Anegdota literackie. — Korespondencje (Witold Tazyski). — Nagroda muzyczna. — Marian Promiński: Kronika filmowa. — W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia”. (ks. Stanisław Kozierowski, Jan Sokolowski, Marian Zimmermann). — Artur M. Swinarski: Cudze piórka. — 16 ilustracji. — 12 stron.

# Jubileusz najpopularniejszego poety Krakowa



Edmund Wasilewski

Miałem zaledwie kilka lat, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z poezją Edmunda Wasilewskiego. Mieszkał w ówczesnym Kleparzu, na placu Matejki. Z okien dziecinnego pokoju widzieliśmy przede wszystkim wież kościoła św. Florianiana, ale wystarczało się trochę wychylić, aby dojrzeć także Barbakan i mury obronne starego Krakowa.

Wieczorami otaczał się gromadką dzieci nasz ukochany ojciec, siadaliśmy razem na gościnnej kanapie i zaczynały się wspólne śpiewy. Ojciec był muzykalny i przepadał za piosenkami Moniuszki. Kochał Kraków i przez całe życie wiernie mu służył. Nic więc dziwnego, że najczęściej śpiewaliśmy krakowiaki.

Nie wiedziałem nic jeszcze o poezji, ani o Edmunde Wasilewskim, a dzięki melodiom Moniuszki miałem już kilkanaście jego wierszy na pamięć. Zaczynaliśmy śpiewy zazwyczaj skoczynym:

Wesoły, szczęśliwy  
Krakowiaczek ci ja!  
A mój konik siwy  
Rażno się uwija;  
Uwijał się rażno bież,  
Kopytami ognia krzesz!

Najwięcej podobała się nam wówczas z całej piosenki zagadkowa zwrotka:

Krakowiaczek ci ja,  
Pędzę sobie zwawo;  
Kto mię nie wymija,  
Plunę w twarz kurzawą!

Pluć, jak nas było trzech braci, umieliśmy już wybornie, w górę, w dół i na odległość, ale „pluć kurzawą“ wydawało się nam godnym zazdrości popisem.

Z mniejszym zrozumieniem, ale bardzo chętnie, nuciliśmy za ojcem z kolei:

Patrz! Mariacka wieża stol,  
dla miasta strażnica...

Słowo „strażnica“ kojarzyło się u nas niemiennie ze strażą pożarną, do której zabierał nas czasami ojciec, jako miejski lekarz weterynarii, a tam uwijało się tyle różnych, siwych i karych koników, marzenie serc chłopców.

Wezwwanie:

Na Wawel, na Wawel, krakowiaku żwawy!  
Podumaj, potęsknij nad pomnikiem sławy...

powtarzaliśmy początkowo raczej niechętnie, bo niedzielne dumania nad krakowskimi pomnikami sławy, na które ojciec zawsze nas zabierał, wydawały się dzieciom nużące, choć uczyły nas od maleńkości zamiłowania do przeszłości Krakowa.

Nie było muzycznego wieczoru, aby w dziecinnym pokoju nie popłynęła „Pieśń żeglarzów“: „Wesoło żeglujmy, wesoło po życia burzliwym potoku“, lub nie mniej melodyjna „Pieśń włóczka“: „Łódka moja, łódka, suwaj po głębinie...“

Wiedziałem wówczas, że autorem tych melodii jest Moniuszko. Nieco później ktoś, najprawdopodobniej matka, która była zamiłowana deklamatorką, objaśnił, że wiersze są pióra Edmunda Wasilewskiego, poety Krakowa, któremu, gdy do wolnego miasta wkraczali Austriacy, z żalu serce pękło.

Ta wzruszająca informacja, choć niezbyt, jak się później okazało, dokładna, usposobiła nas do poety jak najlepiej, lekceważenie i niechęć do „czarno-żółtych zaborców“ żywiłmy bowiem od dziecka. Odtąd, na wyścigi ze starszym bratem, uczyliśmy się na pamięć patriotycznych wierszy Wasilewskiego i deklamowaliśmy na wieczornych rodzinnych popisach wyjątki z poematu „Dzwon wawelski“, o dumnym Zygmuncie, który wiele razy w przeszłości „brzmiał rozgłosami wielkości, tryumfu i chwały“, z wysokiej wieży „hulał“ swobodnie i rozślawiał potęgę narodu.

Wpisywało się wówczas jeszcze ulubione wiersze poetów kaligraficznie do „sztambu-

chu“ i pamiętam, że w moim zeszycie często powtarzał się Wasilewski z wierszami o Krakowie i jego zabytkach.

Były tam fragmenty z poematu „Katedra na Wawelu“ i z poematu „Dzwon wawelski“, były wiersze o krakowskich kopcach i o krakowskich dzwonach, o pobliskim Ojcowie i o dalekich, we mgłach widocznych z Salwatora Tatrach, do których Wasilewski nawet Babią Górę pochopnie zaliczył.

Zdaje mi się, że właśnie w tym roku, gdy 15 listopada mija sto lat od przedwczesnej śmierci 32-letniego poety, powinna się pojawić ładnie wydana i bogato ilustrowana antologia „Kraków w poezji Edmunda Wasilewskiego“, która stałaby się hołdem Krakowa dla najpopularniejszego niegdyś poety, zasłużonego, bo on pierwszy, jeśli pominąć słabe próby Józefa Łapsińskiego, „zdobył Krakowowi miejsce na Parnasie polskim“.

Znam siedem wydań „Poezji“ Wasilewskiego. Ostatnie wyszło w 1925 r. jako 85 tomik „Biblioteki Narodowej“, starannie opracowany przez Emila Haeckera. Wszystkie wydania są dawno już zupełnie wyczerpane. W roku jubileuszowym godziłoby się więc przynajmniej obywatelom Krakowa przypomnieć te wiersze poety, które o umiłowanym mieście tak dźwięcznie i skocznie mówią, a widocznie umiały przemawiać i szczerze i głęboko, jeśli tak silnym echem odezwaly się w twórczości Stanisława Wyspiańskiego.

Do Teatru Rapsodycznego apeluję, aby do swego nowego programu poranków dla młodzieży wprowadził „Poranek Wasilewskiego“, przedstawiając poetę nie tylko jako piewce chlubnej przeszłości naszego miasta, ale jako ciekawego „piosenkarza młodych konspiratorów“ (wyrażenie prof. Windakiewicza), bo Wasilewski podejmował hasła „Ody do młodości“, wzywał do służenia wielkim ideałom ludzkości, chwalił burzę, z orłami się bratał, w młodych chciał widzieć oburzonych i nie tylko był, jak twierdzą słusznie niektórzy krytycy, „ojcem poezji grobów“, ale równocześnie poetą młodości i rewolucji.

Na koniec zwracam się do organizatorów naszego życia muzycznego z prośbą, aby jesienią obdarzyli nas „Wieczorem melodyj do pieśni Wasilewskiego“ z programem nie tylko ślicznych kompozycji Stanisława Moniuszki, ale i Władysława Żeleńskiego, Jana Galla, Wincentego Studzińskiego, Michała Świeżyńskiego i tylu innych polskich kompozytorów, dla których poezje Wasilewskiego stały się natchnieniem.

Te trzy jubileuszowe imprezy, do których montowania należałoby niebawem przystąpić, może podsuną któremuś z młodych polonistów myśl, jakże chwalebna, napisania monografii o niedocenianym dotychczas poecie.

Edmund Wasilewski jej nie ma. Znamy zaledwie kilka o nim wspomnień osobistych

przyjaciół, kilka hołdów jubileuszowych, zdawkowe oceny w historiach literatury, dziś już przedawnioną źródłową pracę Kazimierza Sosnowskiego p. t. „Poezja krakowska z czasów wolnego miasta (ze szczególnym uwzględnieniem Edmunda Wasilewskiego) 1815—1846“ z 1901 r., w której sylwetka poety ledwie zarysowana i najpełniejsze z wydań „Poezji“, z najobszerniejszym wstępem Emila Haeckera, wskazującym właściwie, co należałoby dopiero z Wasilewskim zrobić.

Historycy literatury nie byli dotychczas dla Wasilewskiego zbyt łaskawi. Stanisław Tar-nowski nadmienia wprawdzie: „już to krakowskim bardziej od niego być nie można; wszystko, wśród czego krakowianin rodzi się, żyje i umiera, na co przez całe życie patrzy, wszystko to wspomina, chwalone, pieśczone jest w jego poezji“, ale zaraz mu zarzuca: „nie chciał skończyć klas“, należał do nierozumnym spisków, pisał „wierszyki...którym zbywało i na głębszej myśli i na szlachetniejszej, wyrobionej formie“. Aleksander Brückner orzekł: „Miniaturowa rzeczpospolita krakowska wydała i miniaturowych poetów, zapomnianych od dawna, prócz jednego, co jednak popularność swą głównie dźwiękiem Moniuszki zawdzięcza“. Sprawiedliwym, jak zwykle, okazał się Piotr Chmielowski, sąd swój o poecie w te słowa ujmując: „Choć nie z Krakowa rodem (Wasilewski urodził się w Rogoźnie, w Lubelskiem), najpopularniejszym poetą krakowskim, zyskującym gorącą sympatię nie wielką skalą talentu, lecz serdecznością uczuć i swojskością nuty był Edmund Wasilewski“. Trafnie też zauważył Chmielowski: „Co było najpiękniejszego w motywach ludu krakowskiego, to Wasilewski przeniósł do poezji artystycznej, unikając zarówno słodkawej sentymentalności, jak i zbytnej rubasznosci“.

Dopiero Józef Kallenbach docenił znaczenie Wasilewskiego, wykazał wpływ jego „Katedry“ na „Przedświt“ Krasieńskiego i stwierdził przekonywająco, że „Wasilewski — to pierwszy u nas poeta, co wielkość dziejową Krakowa umiał zakłąć w słowo poważne, wzruszeniem drżące, to jest pierwsze dziecko pogrobowe chwały Wawelu, zasłuchane w niej i rozkochane“.

Potem Stanisław Windakiewicz, pisząc „Dzieje Wawelu“, poświęcił uwagę poematowi Wasilewskiego, bo „poemat ten ma znaczną doniosłość w dziejach wytworzenia się legendy o Wawelu. Nikt jeszcze tak dłużej na Wawelu o przyszłej Polsce nie rozmyślał i rozwiązaniu zagadki jej bytu u pomników jego nie poszukiwał. Szczęśliwy pomysł spojenia niepokoju patriotycznego z dumaniami nad pomnikami katedry nie przeszedł bez echa w naszej twórczości...“, a omawiając „Romanizm w Polsce“ trafnie zanotował: „Największą chwałę Wasilewskiemu przyniosły krakowiaki. Regionalizm krakowski zapewnił mu trwałe imię w literaturze. Naśladuje nie tylko

styl ludowy z epiforami, anaforami i repetycjami, ale przede wszystkim używa metryki ludowej. Krakowiak jest u niego piosnką omal epigramatycznej zwięzłości, ujętą w dwuwiersze dwunasto- i czternastozgłoskowe z wyrażoną średniówką po szóstej lub po ósmej zgłosce. Tworzy je z obserwacji obyczajów wiejskiego... Jeszcze bardziej wślawiły go krakowiaki o gmachach i zabytkach krakowskich, powszechnie znane w Polsce“.

Wreszcie Emil Haecker „ponad wszelką wątpliwość“ ustalił, że Edmund Wasilewski oddziałł twórczo na rozwój poezji polskiej w trzech dziedzinach. „W dziedzinie liryki ideowej, demokratycznej, po Karpińskim, Brodzińskim i Witwickim oznaczają krakowiaki Wasilewskiego przełom, który pieśń ludową wprowadza na nową drogę, wiodącą przez Lenartowicza do Konopnickiej“.

W długim szeregu naszych poetów gór, od Seweryna Goszczyńskiego i Wincentego Pola do Franciszka Nowickiego i Kazimierza Tetmajera, należał Wasilewski wraz z Goszczyńskim do pierwszych, którzy tę dziedzinę poezji odkryli.

Wasilewski pierwszy stworzył poezję grobów, którą po nim snuli Pol i Szujski, a która doniosły wpływ wywarła po latach na Wyspiańskiego“.

Wydaje mi się, że zwłaszcza ta pierwsza dziedzina oddziaływała na Edmunda Wasilewskiego jest bardzo ważna i wymaga bardziej szczegółowego opracowania.

Nie znamy dotychczas dokładnie działalności tajnego krakowskiego „Stowarzyszenia Ludu Polskiego“, do którego Wasilewski należał, nie przyjrzelśmy się bliżej ciekawemu środowisku, z którego poeta wyrósł, a byli tam tak płomienni patrioci jak dr Karol Pięniązek który zginął tragicznie pod kołami młyna w nagłym napadzie obłąkania, w jakie wprawiły go wypadki polityczne 1846 r.; byli emisariusze Towarzystwa Demokratycznego, że wymienię tylko Lesława Łukaszewicza, redaktora „Przeglądu Naukowego“ i „Rysu dziejów piśmiennictwa polskiego“; byli płomienni rewolucjoniści jak Gustaw Ehrenberg, autor powszechnie znanych pieśni „Bartosz Głowacki w Raclawicach“ i „Gdy naród do boju wystąpił z orężem“, wielki wpływ wywierający na kształtowanie się poglądu Wasilewskiego na zadania poety.

Należałoby też zbadać wielkość i jakość wpływu Wasilewskiego na Teofila Lenartowicza, na Marię Konopnicką, a pośrednio na tych, którzy szli ich śladem, a wtedy dopiero zdalibyśmy sobie w pełni sprawę, że rocznica najpopularniejszego poety Krakowa łączy się z rozpamiętywaniem spraw ciekawych i ważnych w dziejach naszej poezji, kto wie, czy nie naprawdę przełomowych dla polskiej poezji.

„Miniaturowy poeta“ nie był na miarę krawca.

Stefan Papée

## Wrocław promieniuje

Znamiennym przejawem zrastania się Śląska z resztą kraju jest ustawicznie wzmagający się rytm pracy naukowej i badawczej dwu śląskich ośrodków kulturalnych — Katowic i Wrocławia.

Jak żywo bije ten rytm w ośrodku katowickim, informował szczegółowo Stefan Papée w numerze 25 „Odrodzenia“ w artykule „Katowice organizują życie naukowe na Śląsku“.

Wrocław, choć w trudniejszych warunkach, nie mniej intensywnie przystąpił do dzieła. Jednym z pozytywnych osiągnięć wrocławskich jest zaopekiowanie się tą dziedziną pracy kulturalnej, której dotychczas nie poświęcało się należytej uwagi. Mamy na myśli sprawę organizacji badawczych i naukowych wysiłków prowincji śląskiej, pozostawianej dotąd własnemu losowi.

Wrocław nie posiadając naturalnego zaplecza, jakim dla centrów uniwersyteckich są kadry pracowników terenowych, przez uniwersytet w ciągu lat wychowywanych, szuka kontaktów z pojedynczymi działaczami rozproszonymi w terenie.

Dla zorientowania się w jakości materiału ludzkiego, jakim by można dysponować, zorganizował Wrocław, przy współudziale Instytutu Śląskiego, dwa kursy wprowadzające. Pierwszy urządzony został w maju br. we Wrocławiu pod nazwą „Oblicze Ziemi Odryjskiej — Dolny Śląsk“. Drugi w sierpniu br. w Karpnikach (powiat Jelenia Góra) pod nazwą „Kurs metodyki badań naukowych, odnoszących się do Śląska“.

Na drugim kursie zgromadzono około pięćdziesięciu pracowników terenowych Dolnego

i Górnego Śląska, reprezentujących tyleż prawie prowincjonalnych miejscowości śląskich.

Wykłady — nad ustaleniem ich tematyki trudziła się dr Ewa Maleczyńska — powierzone profesorom uniwersytetów wrocławskiego i krakowskiego, jak również niektórym wybitnym pracownikom naukowym spoza uniwersytetu, m. i. dyrektorowi Instytutu Śląskiego dr. R. Lutmanowi.

Wykładowcy — zrekapitulowawszy na wstępie ogólne zasady metodyki naukowej — postawili przed słuchaczami konkretne zadania, których rozwiązanie będzie możliwe i konieczne właśnie na terenie prowincji śląskiej. Owoce tych badań wykażą w przyszłości, czy i o ile akcja wrocławska była przedsięwzięciem celowym i skutecznym. Ministerstwo Ziemi Odzyskanych udzielając imprezie finansowego poparcia wykazało daleko idące zainteresowanie omawianą kwestią i zrozumienie, że sprawa odrobienia zaległości kulturalnych i naukowych prowincji śląskiej posiada doniosłe znaczenie ogólnopolskie.

Byłoby rzeczą nad wyraz pożądaną, aby również Kraków, najstarszy ośrodek uniwersytecki w Polsce, chlubiący się słusznie wiekową tradycją promieniowania naukowej myśli na Śląsk, umiał dojrzeć wysiłki, jakich nie szczędzi się w dziedzinie kulturalnej ekspansji na prowincję śląską i aby zechciał w odpowiednim momencie wyjść tym wysiłkom na przeciw z pomocą i radą.

Trzy ośrodki kulturalno-naukowe, Kraków, Katowice i Wrocław, harmonijnym rytmem na ukowej współpracy zespolone, osiągną z łatwością zasadniczy cel naszej pracy w Ziemach Odzyskanych — ostateczne i całkowite zjednoczenie kulturalne Śląska z resztą kraju.

L. S. Dudkiewicz

Cenne wznowienie przekładów Boya

BALZAC

DWAJ POECI

100.- zł.

STRACONE ZŁUDZENIA

220.- zł.

» K S I A Ż K A «

# Studium o Sienkiewiczu

Uwagi niniejsze, o charakterze informacyjno-sprawozdawczym, są przeznaczone przede wszystkim dla tych czytelników, którzy — utrzymując z prasą czasopiśmienną kontakt — mniej lub więcej luźny i przypadkowy — przeczytali cenne studium Andrzeja Stawara pt. „Sienkiewicz”, zamieszczone w czterech kolejnych numerach (30, 31, 32, 33) Łódzkiej „Kućnicy”. Zasluguje ono na uwagę dla trzech co najmniej przyczyn: 1) jako wyczerpujące zamknięcie literacko-krytycznych wypowiedzi, związanych z niedawno minioną setną rocznicą urodzin Sienkiewicza, 2) jako dopełnienie owych wypowiedzi własnym, oryginalnie umotywowanym sądem na temat pozycji Sienkiewicza w historii polskiej kultury i wreszcie 3) ze względu na odbiegającą od szablonu metodę, jaką posłużył się autor w swojej pracy krytycznej.

Andrzej Stawara przytacza wszystkie prawie wybitniejsze opinie o „sprawie Sienkiewicza”, wyrażone przez przedstawicieli różnych grup ideowych. Podsumowanie materiału o znacznej rozpiętości, jeśli chodzi o światopoglądowe tendencje i o literackie upodobania opiniodawców, pozwala stwierdzić, że stosunek do Sienkiewicza uległ — mimo owe wzajemne dystanse między „obozami” czy „kierunkami” — znacznemu ujednoliceniu. Wspólna przeciętna opinii krytycznej wyraża się w zgodnej na ogół rezerwie i powściągliwości co do pedagogicznej funkcji sienkiewiczowskich wpływów, natomiast podkreśla nieprzemijające wartości Sienkiewicza-stylisty. Podtrzymywanie tradycji o Sienkiewiczu — wodzu narodu i „władcy dusz” należy do przypadków odosobnionych, występujących nieśmiało i z dużymi zastrzeżeniami.

Rozprawa Stawara wstrzymuje się wprawdzie od nazwania wprost powodów tego znacznego — w stosunku do stanu sprzed ostatniej wojny — zbliżenia się do siebie przeciwnych sądów o Sienkiewiczu. Ostatnie wnioski pozostawia samodzielności czytelnika, któremu nie trudno zresztą postawić kropkę nad i, po przesłuszeniu naprowadzonych w oświadczeniu przesłanek. Z przedstawionej przez autora historii „kariery literackiej” Sienkiewicza czytelnik dowie się, w jak burzliwej atmosferze polemik i sporów, entuzjastycznych zachwytyw z jednej — namiętnych ataków z drugiej strony, dojrzewała i rosła olbrzymia popularność autora „Trylogii”. Gwałtowność dyskusji, towarzyszącej wystąpieniom autorskim Sienkiewicza, tłumaczy się jasno na tle społeczno-politycznych przeobrażeń, jakie dokonywały się na gruncie polskim od dziesiątego dziesiątka lat ubiegłego wieku do wojny 1939 roku.

Pozycją wyjściową dla Sienkiewicza był pozytywizm, ale nie na długo, gdyż rychło dał się pociągnąć atrakcyjności obozu szlachecko-arystokratycznego. Zresztą i pozytywizm, wraz ze swym programem mieszczańskiego liberalizmu, przeszli pod naciskiem rosnącego ruchu socjalistyczno-ludowego na skrzydło konserwy. Tak więc Sienkiewicz, odczuwający instynktową awersję zarówno do kultury mieszczańskiej, której wyrazem był pozytywizm, jak i — w większym jeszcze stopniu — do nowo tworzącej się klasy proletariatu, znalazł się pod ostrzałem podwójnym. Ale zarówno ostrożna i powściągliwa krytyka pozytywistów (Świętochowski, Chmielowski), która starała się osłabić pozycję Sienkiewicza pośrednio, przez obniżenie jego rangi pisarskiej, jak i pełne pasji napaści publicystów „Młodej Polski”, wyrażających — przez osobliwy splot okoliczności — postępową myśl społeczną (Nałkowski, Brzozowski) — znajdowała przeciwwagę w obronie, jakiej nie szczędziła Sienkiewiczowi cała prawica.

Równoległe działał bezwzględny zachwytyw szerokiego rzesz czytelników, które nie dostrzegły w pismach Sienkiewicza ich niebezpiecznej dydaktyki, biorąc za dobrą monetę to, co w nich było najbardziej pod względem wychowawczym wątpliwe. „Hetmanat” Sienkiewicza ugruntowany na świadectwie polskim wadom narodowym, odpowiadający idealnie najpowszechniejszemu typowi sarmackiego umysłowości, świecił tryumfy: ich odblask znajdujemy w owym pięćdziesięcioleciu przed ostatnią wojną raz po raz — dość wspomnieć romantyczne dekoracje historii Legionów i pierwsze dni września 1939, kiedy to kawaleria z dobytymi szablami szarżowała brawurowo czołgi niemieckie — podług najlepszych wzorów z „Trylogii”.

Teraz wnioski nasuwają się same. Dziś zabrakło realnego i psychicznego podłoża dla zbyt sprzecznych pomiędzy sobą sądów o Sienkiewiczu. Ostrza dawnych ataków są już niepotrzebne wobec dokonanych przemian historyczno-socjalnych; dla nowego ustroju społecznego rycersko-sarmackie rekwiizyty zostały zakreśnione w muzealno-zabytkowe formacje i nie podniecają już umysłów ani nie burzą krwi, bo zwietrzała ich ważkość aktualna. Straciły również sens dawne zachwyty: rozbiły się o ową tragiczną pomyłkę 1939 roku, wydłużoną w sześć lat najdotkliwszą lekcją, jakiej udzieliła nam historia. Mit „hustarskich skrzydeł”, podmalowany lekkomyślnym optymizmem według odwiecznej receptury „sursum corda” i „jakoś to będzie” — po-

trząskali się na teutońskiej stali i murach więzień. Tak więc umiar, okazywany obecnie w „sprawie Sienkiewicza”, jest logicznym wyrazem korektur, jakie trzeba było przeprowadzić w naszym społecznym myśleniu.

Spokój, z jakim Andrzej Stawara referuje swój własny sąd o Sienkiewiczu, dowodzi istotnie, że ostatnie lata stworzyły perspektywę potrzebną dla obiektywnego spojrzenia. Z tego dystansu rozpatrywany obraz nie rozprasza spojrzenia po miłej różnorodności kontrastujących elementów, lecz układa się w scalone, zsyntetyzowane, przejrzyste w swych barwach i proporcjach płaszczyzny. Analizując po kolei powieści historyczne Sienkiewicza, a następnie jego powieści współczesno-obyczajowe i wreszcie „Quo vadis” — ukazuje w nich Stawara „sine ira” cały zespół owych właściwości formalnych i treściowych, które w sumie stanowią synonim wyraźnie określonego, specyficznie polskiego „stylu”: arealizm, irracjonalny optymizm, oportunizm i eklektyzm myślowy, niegłęboka i na praktycznej użyteczności oparta moralność — to wszystko zanurzone w kwietystycznym błogostanie przeświadczeń o krzepiącej wartości rodzimych tradycji, których cudowny, baśniowy patos zdaje się roztaćcać skrzydła opiekuńcze nad spokojną i „estetyczną” drzemką narodową.

To co Sienkiewicz przejął z pozytywizmu — wyrażało się w programie społeczno-gospodarczym zasadą „dorabiania się” (Połaniecki!), a w programie politycznym — „swoistą sublimacją polityki w sferę zjawisk historyczno-estetycznych”, która „dawała satysfakcję narodowemu maksymalizmowi (utrzymywanie dziedzictwa historycznego) a nie groziła ryzykiem aktualnym”. Warto w tym miejscu przytoczyć podane przez Stawara zdanie Dmowskiego: „Pod wpływem estetyzmu odświeża się chętnie wynalezioną już dawniej misję dziejową narodu, przeprowadzając analogię między nami a starożytnymi Grekami w dobie upadku i wskazującą nam jako zadanie dziejowe — odegranie takiej roli w życiu duchowym Rosji, jaką tamci odegrali w Rzymie”.

Krytyka Stawara nie jest jednak wyłącznie negatywna. Żywotne i twórcze wartości zawarte w pisarskim dorobku Sienkiewicza dostrzega ona również. Stawara rozpatruje pisarstwo Sienkiewicza konfrontując je ustawicznie ze współdziałającymi się przemianami społecznymi, politycznymi i kulturalnymi. Poszerzając ciekawość badacza z wąskiej ścieżki analizy estetycznej, uwarunkowanej kanonami poetyki, na dziedzińcy społecznej celowości i przydatności sztuki (i wówczas i dziś), uzyskuje wiele ciekawych i oryginalnych ujęć i stwierdzeń. Pozorne rozbieżności w pismach Sienkiewicza znajdują wyjaśnienie w skomplikowanych i złożonych motywach pozaartystycznych; tym sposobem można ujrzeć pisarza jako jednolitą — mimo wszystko — osobowość.

Połączenie metody genetycznej i empirycznej daje wyniki szczęśliwe, bo ustrzeżone krytyka od jednostronności. Stawara nie ustala z góry stwierdzeń, do których trzeba by siłą nagać argumenty, postępując się uproszczeniami i eliminacją „niewytgodnych” dla całości koncepcji momentów. Dzięki temu znajdują swój wyraz istotne wartości pozytywne Sienkiewicza. Przede wszystkim nie ulega wątpliwości jego olbrzymia zasługa dla wykształcenia i rozwoju polskiej prozy. „Niezawodnie — przyznaje Stawara — pod względem bujności wyobraźni artystycznej, bogactwa języka, wspaniałej techniki narracyjnej, plastyczności obrazu Sienkiewicz przewyższa niejednego z uznanych klasyków powieści europejskiej”. Toteż nie dziwi, że autor „Trylogii” i „Quo vadis”, podejmując szlachetną ambicję Kraszewskiego, zdobył dla powieści narodowej cały kraj, zwyciężywszy konkurencję książki importowanej zza granicy.

Inny przykład obiektywnej sprawiedliwości Stawara: mimo arealizm i baśniową stylizację, przeważającą w historycznych powieściach Sienkiewicza, umie dostrzec autor rozprawy wyjątkową pozycję „Krzyżaków”, która — dzięki rzetelnemu realizmowi — utrzymuje się krzepko i dziś. Nie zapomina również Stawara o naprawdę uczciwej społecznie postawie Sienkiewicza w pierwszych utworach publicystycznych i nowelach.

Na koniec godzi się podnieść zastępujący na szacunek takt, z jakim Stawara przeprowadza dyskusję z wyrażicielami odmiennych, niż jego, sądów i przekonań. Przytacza ich w trakcie własnych rozważań sporo, przy czym nazwiska krytyki wczorajszej i wczorajszej spotykają się z dzisiejszymi. Ale w każdym przypadku referowania cudzej opinii znać troskę, aby wybrać z niej momenty dla danego autora „najmocniejsze”, najbardziej instruktywne. Na tle dość pospolitych obyczajów polemicznych, polegających na tryumfalnym wytykaniu palcem wybojów w cudzych podwórkach, taki styl dyskusji zasługuje na uznanie. Dowodzi on, że można podróżować szlakiem twórczej, postępowej myśli bez hałasu, brzydkich skłinań i gromkiego trzaskania z bąka.

Jest to jeden jeszcze argument kierowany do czytelnika zachęty, aby sięgnął po wymienione na wstępie numery „Kućnicy”.

Wilhelm Mach

Londyn, w sierpniu 1946 r.

# Notatki angielskie

CIASTKA I KARTOFLE

Niedawno ukazało się niewielkie, 28-stronowe sprawozdanie obrazujące sytuację żywnościową w najcięższym okresie powojennym — na przedwójku 1946 r. — i możliwości wyżywienia w roku 1946-7. W sprawozdaniu tym uwzględnione są kraje zachodniej i południowej Europy, część okupowanych przez Anglię, Amerykę i Francję Niemiec oraz Indie i kraje Dalekiego Wschodu. W wielu z nich wyżywienie było tak niewystarczające, że utrzymanie się takiego stanu na dłuższą metę mogłoby mieć groźne następstwa dla ludności. Oczywiście nie mówię tu o ludziach zamożnych, którzy w najbardziej wygłodzonych krajach potrafili zdobyć sobie zapasy żywności poza przysługującym przydziałem. Następstwem złego odżywiania się są częste wypadki krzywiczy u niemowląt, niedorozwój lub powolne rozwijanie się u dzieci starszych, u dorosłych zaś utrata wagi i siły, objawy anemii i brak odporności na wszelkie choroby.

Załączone do wydawnictwa dane statystyczne pozwalają zorientować się jak bardzo niesprawiedliwy był rozdział żywności nawet przed wojną. Spożycie pokarmów mącznych (np. chleba) w jednych krajach było dwa razy mniejsze niż w innych nie dlatego, że kraje te miały pod dostatkiem innych produktów żywnościowych, lecz dlatego, że kraje bogatsze chleb ten zgarniały dla siebie.

W tabelach, podających ilość skonsumowanego mięsa, tłuszczu czy cukru, na pierwszym miejscu figurują te same państwa: Ameryka, Kanada, Australia i Anglia.

W tych krajach, gdzie ludzie odżywiali się najmarniej, przypada obecnie na głowę mniej niż 5 kg cukru rocznie, co daje 70% stanu przedwojennego. Oznacza to, że i przed wojną spożycie cukru wahało się tam około 6 i 1/2 kg rocznie na osobę, gdy w krajach zasobnych w żywność konsumpcja cukru wynosiła 50 kg, a obecnie wynosi 40 kg na głowę (czyli 8 razy więcej). Podobnie przedstawia się sprawa zaopatrzenia w tłuszcz i mięso — w tej rubryce autorzy statystyki nie podają cyfr ilustrujących spożycie tych artykułów w krajach nędzarzy. Ograniczają się tylko do określeń „mniej niż”, co może również znaczyć „znacznie mniej niż”. I tak mięsa przypada „mniej niż” 40 funtów, a tłuszczu „mniej niż” 20 funtów rocznie na osobę.

Należy się spodziewać, że w krajach uzależnionych od Ameryki i Anglii stan wyżywienia nie podniesie się i w roku przyszłym, w latach zaś następnych zdecydująco o tym warunki atmosferyczne, zbiory i inne czynniki przypadkowe, jak względy dochodowe czy konkurencja producentów.

W rubryce „zapotrzebowanie krajów europejskich” (z wykluczeniem Anglii i Belgii) dowiadujemy się, że przed wojną kraje europejskie pokrywały same swoje potrzeby w 90%. Z tego by wynikało, że o ile wewnętrzna produkcja zdolna była zaspokoić potrzeby tych krajów w tak dużym stopniu i tylko 10 procent ogólnego zapotrzebowania przypadało na import, to kraje te musiały być samowystarczalne i bogate w żywność.

Tak jednak nie było — to, że importowano tylko 10% produktów nie świadczyło bynajmniej o tym, że była to wystarczająca ilość żywności, jakiej te kraje potrzebowały — była to po prostu ilość, na której zakupienie stać było biedne państwa.

Zdarzało się i tak, że kraje o bardzo niskiej konsumpcji zamiast sprowadzać żywność zza granicy musiały — głodząc własną ludność — eksportować ją jeszcze do krajów, które miały żywności pod dostatkiem.

Nie zatrzymywałbym się dłużej nad tym, gdyby nie fakt, że te właśnie kraje są w omawianym sprawozdaniu na szarym końcu listy zaopatrywanych w żywność narodów. Osiągnięcie choćby 70% produkcji stanu przedwojennego jest, zdaniem autorów sprawozdania, wynikiem zadowalającym, gdyż nawet kraje zasobne w żywność przed wojną nie dochodzą obecnie do pełnych stu procent konsumpcji przedwojennej. Zapomina się jednak o tym, że 10 czy 20 procent „mniej niż przed wojną” oznacza dla krajów bogatych nieznaczne tylko zmniejszenie konsumpcji — i tak dużej w porównaniu z konsumpcją krajów głodzących.

W krajach cierpiących na brak żywności spadek spożycia o 60, 50, 40 a nawet 30% oznacza głód lub co najmniej złe odżywianie się, tym bardziej niepokojące, że stan taki, z małymi odchyleniami, trwa tam już długie lata. Kraje te ucierpiały najwięcej w czasie wojny i w okresie powojennym i ucierpią jeszcze w roku nadchodzącym. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że przy katastrofalnym załamaniu się produkcji wewnętrznej spadła także siła nabywcza. Nie mam wątpliwości, że do tych właśnie krajów (europejskich i krajów Dalekiego Wschodu) odnoszą się przede wszystkim słowa sprawozdania: „brak żywności trwać będzie w ostrej formie co najmniej do przyszłych zbiorów” — „w najbliższym czasie nie ma widoków na eksport żywności” — „w roku 1946-7 przewiduje się niedobór co najmniej 10 mil. ton zboża (w porównaniu z okresem przedwojennym). Podobnie jest, jeśli chodzi o dostawę tłuszczu, cukru i mięsa”.

W czasie wojny Anglia ze zrozumiałych względów nie mogła ogłosić danych dotyczących produkcji artykułów spożywczych, importu i konsumpcji. Dopiero teraz Ministerstwo Wyżywienia podaje dokładne sprawozdanie omawiające te sprawy. Z przedmowy do tego sprawozdania wynika, że zredagowane jest ono dlatego tylko w czasie przeszłym, że odnosi się do okresu wojennego. Jednak i zakończenie wojny nie pozwala jeszcze na rozluźnienie kontroli. Przeciwnie: „brak żywności na całym świecie zmusza Anglię do dalszego ograniczania konsumpcji nawet w stosunku do spożycia w ostatnim roku wojny”.

Tym właśnie można tłumaczyć rozczarowanie tutejszej ludności, która co krok napotyka ciągłe braki i ograniczenia (najnowsze zarządzenie ograniczające sprzedaż chleba i produktów mącznych — czego nie było nawet w czasie wojny, brak piwa, papierosów, owoców i wielu artykułów codziennego użytku). Pierwsze słowa sprawozdania brzmią: od 1940 r. Anglia odczuwała brak takich produktów żywnościowych, jak: mięso, ryby, jaja i cukier. Zmniejszył się znacznie dowóz owoców. Ludność musiała spożywać wielkie ilości prostych i mniej smacznych pokarmów: chleb, produkty mączne, kartofle, fasolę i groch.

Zaraz po tym wyznaniu tabela opatrzona w cyfry wskazuje, o ile zmniejszyła się ilość „smacznych potraw”, a w jakim stopniu wzrosła przymusowa „wulgarność” diety. W roku 1944 stan konsumpcji w Anglii, w porównaniu ze spożyciem sprzed wojny, przedstawiał się następująco: 69% przedwojennego spożycia cukru, 85% tłuszczu, 86% mięsa, 76% drobiu, 73% owoców i szlachetniejszych jarzyn, 87% herbaty, kakao i kawy. Wzrosło natomiast spożycie takich pokarmów jak: chleb i potrawy mączne (do 119% przedwojennego spożycia), jarzyny (do 113%) i kartofle (do 160%).

Czytając ubolewania nad tym, że Anglia musiała spożywać więcej chleba i ziemniaków, a ograniczać (zresztą nieznacznie) konsumpcję mięsa, tłuszczu i słodczy, odnosi się wrażenie, że sprawozdanie to było chyba przeznaczone dla czytelników Australii, Ameryki czy Kanady, dla ludzi, którzy nigdy nie zaznali głodu i dla których chleb nigdy nie był czymś bezznacznym. Tylko tam ograniczenia w spożyciu tłuszczu i słodczy mogą wzbudzić współczucie i zrozumienie.

Choć autorowie książki starają się wyraźnie podkreślić, że chleb i ziemniaki zastąpiły spożycie wykwinnych potraw i bardziej pożywnych pokarmów, to przecież czytelnikowi zagranicznemu trudno jest podzielać zdanie Ministra Wyżywienia, jakoby w Anglii był poważny brak żywności.

Czytając jednak następny rozdział mimo woli zapomina się o sceptycznym nastawieniu i zaczyna się solidaryzować z autorami.

O czym mówi ten rozdział? Wyżywienie ludności w Anglii było w dużej mierze uzależnione od dowozu — 2/3 kalorii były zamorskiego pochodzenia (połowa konsumowanego mięsa, 4/5 cukru, 1/10 zboża i mąki, prawie wszystkie tłuszcze). Otóż w czasie wojny dowóz żywności zaczął się niepokojąco zmniejszać — z 22 mil. ton rocznie do 18 i 14, a wreszcie nawet do 10. Były to najcięższe chwile dla Anglii i dla tych, którzy związali z nią tyle nadziei.

Czytelnik jest w pierwszej chwili przety, ale wnet uśmiewa się sceptycznie i utwierdza się w przekonaniu, że angielskiego alarmu nie można brać poważnie.

22 miliony importowanej żywności plus prawie tyle samo wyprodukowanej na miejscu, to prawie tona rocznie na osobę, czyli 3 kilogramy dziennie nawet na dziecko. To nie jest mało, nawet gdyby ta racja obejmowała chleb i kartofle.

EKSPORT ANGIELSKI

Ogłoszony w prasie bilans eksportu za rok ubiegły wykazał, że Anglia odniosła sukces, jakiego nie przewidywali nawet optymiści. Odbudowa przemysłu angielskiego postępuje obecnie szybciej niż po pierwszej wojnie światowej, choć finansowo przedstawia się gorzej, bo eksport przyniósł Anglii zaledwie połowę tego, co musi spłacić zagranicą.

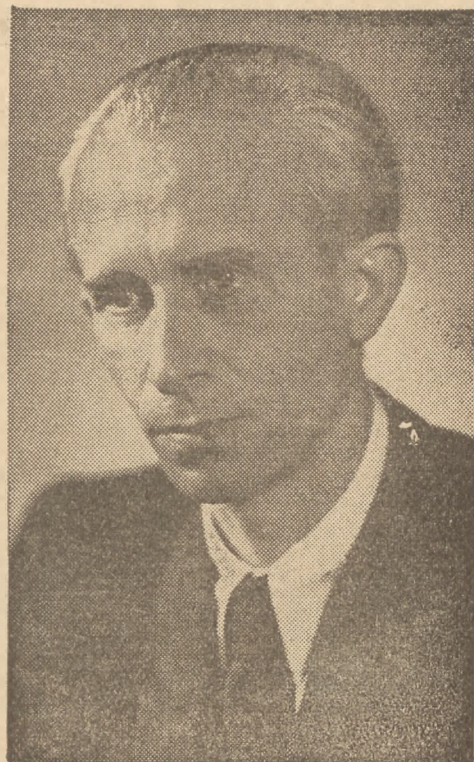
W porównaniu z eksportem przedwojennym z 1938 r. eksport obecny przewyższył go w niektórych gałęziach przemysłu dwukrotnie (żelazo, stal) a nawet przeszło dwukrotnie (2 1/2 razy maszyny). Sukces ten osłabnął Anglię kosztem wyrzeczeń swej ludności, gdyż artykuły eksportowe są tu odmierzone w minimalnych ilościach, albo w ogóle nie docierają do ludności. Choć od ubiegłego roku produkcja angielska znacznie wzrosła, to zwykłą tę przeznaczono na eksport i tylko drobną jej część przyznano na zaspokojenie potrzeb wewnętrznych i powiększenie zapasów. Jeżeli nawet przyjmiemy, że z produkcji, 2/3 poszło na konsumpcję wewnętrzną, a tylko 1/3 na eksport, to trzeba pamiętać o tym, że z tych 2/3 przeznaczonych na spożycie kraju drobną tylko część oddano na potrzeby ludności, przeznaczając resztę na przebudowę i odbudowę przemysłu.

Bogusław Kuczyński

NAGRODA PLASTYCZNA

# SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA • CZYTELNIK •

Z wystaw w Krakowie



WACŁAW TARANCZEWSKI  
otrzymał nagrodę artystyczną Poznania  
za rok 1946

## Książka o Krzyżakach

Biblioteka Popularno-Naukowa. Nr 1. Stanisław Zajączkowski. Dzieje Zakonu Krzyżackiego. Okładkę projektował Władysław Daszewski. (Łódź), „Książka”, 1946; str. 138 i 2 nl i 1 mapka.

Popularnie napisany przegląd dziejów Zakonu Krzyżackiego przez dobrego znawcę tego przedmiotu, któremu autor poświęcił już kilka prac („Zarys dziejów Zakonu Krzyżackiego w Prusach”, „Podbój Prus i ich kolonizacja przez Krzyżaków”) — ma wielkie zalety społeczno-dydaktyczne.

Zarys historii krzyżackiego zakonu i państwa nad Bałtykiem jest tradycyjny. Tak więc czytamy dość wiele o sprawie Chrystiana, biskupa pruskiego, od którego właściwie zaczyna się nieszczęsna sprawa krzyżacka. Czytamy o nadaniu mu przez króla polskiego tytułu księcia chełmińskiego, które niefortunnie biskup odstąpił wraz z trzecią częścią Prus w 1231 roku Krzyżakom za sześćset tysięcy ziem, dochody oraz uznanie swej władzy biskupiej. Wiemy o założeniach polityki papieskiej za Innocentego III, „który dążył do usuwania wszędzie z terenów misyjnych wszelkich wpływów świeckich oraz do poddawania nowo ochrzczonych ludów pod swoje wpływy i kierownictwo”.

Na wielu stronach książeczki wychodzi więc na jaw rola Kościoła w zagadnieniach krzyżacko-polskich. Ale autor, jak cała literatura przedmiotu, nie ukazuje tej jasnej, oczywistej i niewzruszalnej prawdy, że od samych początków pobytu w Polsce rycerzy Zakonu Teutońskiego N. M. Panny do momentu ich sekularyzacji, organizacja ta była popierana, podtrzymywana, chroniona, posilkowana i otaczana skuteczną opieką przez kurie rzymską. Snuje się to niemal bez zmiany od Chrystiana i Konrada Mazowieckiego do czasów Zygmunta Starego, przyczyniając Polsce niebawym trudności i wybijając piętno na jej kolejach, także po roku 1525.

„W myśl programu papieża Polska miała jedynie popierać misję Chrystiana, ale nie ciągnąć stąd własnych korzyści” — stwierdza prawdomówny Kazimierz Tymieniecki („Misja polska w Prusach i sprowadzenie Krzyżaków”). Wiadomo, że papież Honoriusz III nakładał w związku z misją pruską obowiązki na Polskę, odmawiając jej wszelkich praw, a Grzegorz IX rekomendował gorąco Krzyżaków Konradowi. Te przykłady można mnożyć, wybierając niemal do woli z bogatych archiwów historii.

Gdy zadre krzyżacką chciano wyrwać, wśród czynników hamujących te wysiłki nie mała rolę odgrywał Kościół. Popierający szczerze narodowy program polityczny królów polskich polscy duchowni (nota bene świeccy, bo zakonnicy byli wobec tej sprawy obojętni lub sprzyjali Krzyżakom, jak np. arcybiskup gnieźnieński Janusz lub biskup kujawski Gerward) — niewiele mogli zdziałać. Rycerski zakon miał protekcję stolicy apostołkiej i w rachubach politycznych kurii ważył więcej niż łokietek, Kazimierz Wielki czy Władysław Jagiełło.

Nic nie znajdziemy u Zajączkowskiego, na ciekawym i obfitym w treść temat, jakiemu kierunkowi polityki holdowała w Polsce Jadwiga, która dokładała wszelkich sił, by nie dopuścić do zbrojnego rozstrzygnięcia między Polską a Zakonem. Pomija też prof. Zajączkowski milczeniem dramatyczną walkę Kazimierza Jagiełły z Zbigniewem Oleśnickim. Moment, w którym posłał zburzone przeciwko zakonowi stanów pruskich stanęło w Krakowie („udajemy się do Majestatu Twego z prośbą, abyś nas raczył przyjąć za Twoich i królestwa Twego wieczystych poddanych i hołdowników i wcielił do Królestwa Polskiego, od którego jesteśmy oderwani”), wspomniany jest w książeczce. Ale fakt, że decyzja królewska, podjęta w pierwszych dniach marca 1454 r. w sprawie wojny z Krzyżakami i wcielenia ich państwa do Polski, nie tylko stawiała Zakon przed grozą likwidacji, ale stanowiła ruinę resztek politycznego systemu Zbigniewa Oleśnickiego — nie odbija się w zarysie Stanisława Zajączkowskiego nawet najślabszym echem. Potęgą kardynała, ongiś wszechmocnego i niekoronowanego króla, którego Kazimierz Jagiełło odsuwa w cień, należała do przeszłości. Książeczka prof. Zajączkowskiego dowodzi, jak bardzo aktualna i pilna jest rewizja naszych pojęć o istocie i rozwoju kwestii krzyżackiej, dla której obok wpływów niemieckiego cesarstwa oddziaływanie Kościoła posiadało pierwszorzędne znaczenie.

Bardzo wielką zaletą syntetycznego obrazu Zajączkowskiego jest to, że autor wprowadza w logiczny związek ogniwa niemieckie pod postacią rycerskich zakonów rozmieszczone na całym południowym pobrzeżu Bałtyku, a więc w Prusach i na Pomorzu oraz w Inflantach. Łączy w całość ogniska zabójczej ekspansji, której pierwszą tamę postawili i jeden z decydujących ciosów zadał Słowianie ruscy za Aleksandra Newskiego. „W 1242 książę Aleksander Newski wypędził Niemców z Pskowa, a następnie pobił na głowę wojska krzyżackie nad brzegami jeziora Pełpus pod Ismenem w tzw. bitwie na lodzie. Przez to zwycięstwo zmusił Aleksander Krzyżaków do porzucenia zaborczych zamiarów wobec ziem ruskich”. Mapka dołączona do książki ilustruje wymownie szlaki, którymi posuwał się planowo żywioł niemiecki w basenie bałtyckim.

Nie jest przypadkiem, że księgi Krzyżaków i niemieczny zbiegają się ze współdziałaniem słowiańskich narodów Polski, Czech, Prus, Litwy i Rusi. Tak było pod Grunwaldem, tak w momencie największego w historii powodzenia i zupełnego zwycięstwa w ostatniej wojnie światowej.

Historia jest źródłem mądrości, jej zgłębianie wzbogaca myśl polityczną, a popularyzacja zapewnia pożytek wychowawczy.

Józef Sieradzki

DNIA 10 WRZEŚNIA UKAZĄ SIĘ NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH

### NOWOŚCI

## JAROSŁAW IWASZKIEWICZ NOWA MIŁOŚĆ I INNE OPOWIADANIA

STRON 239

## JERZY PUTRAMENT ŚWIĘTA KULO OPOWIADANIA

STRON 175

## LEOPOLD STAFF WIERSE WYBRANE

STRON 183  
Z PORTRETEM POETY

## WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ HISTORIA FILOZOFII TOM PIERWSZY FILOZOFIA STAROŻYTNA I ŚREDNIOWIECZNA

STRON 415  
Z 14 PORTRETAMI

## JAN DEMBOWSKI PSYCHOLOGIA ZWIERZĄT

STRON 365  
Z 94 ILUSTRACJAMI W TEKŚCIE

## WIKTOR JAKUBOWSKI SŁOWNIK ROSYJSKO-POLSKI I POLSKO-ROSYJSKI CZĘŚĆ PIERWSZA: ROSYJSKO-POLSKA Z ZARYSEM GRAMATYKI ROSYJSKIEJ

STRON 430

### WZNOWIENIA

## JERZY ANDRZEJEWSKI NOC OPOWIADANIA

STRON 220  
WYDANIE DRUGIE (25 TYSIĄC)

## SEWERYNA SZMAGLEWSKA DYMY NAD BIRKENAU

STRON 302  
WYDANIE TRZECIE (35 TYSIĄC)

Wystawa pamiątkowa M. Samlickiego przedstawia niedużą stosunkowo liczbę płócien. Staranny dobór prac daje jednak dostateczny wgląd w twórczość artysty.

Wprawdzie działalność malarska Samlickiego przypada na ostatnie czterdzieście lat, a więc na okres panującego u nas oficjalnie dekoracyjnego impresjonizmu, artysta jednak szedł własnymi drogami, z których nie zawsze wyszedł zwycięsko. Na pierwszy rzut oka uderza nas charakterystyczna powściągliwość i skromność w używaniu środków malarskich. Cienko, prawie laserunkowo kładzione farby, o lokalnym kolorze sprowadzonym często do jednego tonu, wypełniają poprawny, z lekką schematyzacją rysunek. Ta tendencja zachowania lokalnego koloru, w ramach akademickiego niemal rysunku, jest główną cechą prac Samlickiego.

Wyjątek stanowią portrety dzieci jak: „Jureczek” i „Gdy dziewczę ma lat 6”, przepojone delikatnym kolorytem oraz późniejsze: „Chłopiec z tulipanami” i „Widok z okna”, obrazy zbudowane w całości na zasadach kolorystycznych.

W innych pracach widoczny jest brak tej jednolitości budowy, czyli konsekwencji w przeprowadzeniu każdego centymetra obrazu, konsekwencji, która jest jednym z najelementarniejszych, a zarazem — najtrudniejszych problemów malarskiego rzemiosła. Weźmy pod uwagę choćby frapujący portret Makowskiego, w którym górna partia, o ciekawym płaszczyznowym ujęciu, przechodzi nagle w partii nóg w banał naturalistycznie i brudno malowanych fałd u spodni. Podobne niedociągnięcia spotykamy też w innych pracach. („Modlitwa przed wieczernią”, „Donna Izabella”), gdzie przesadnie monochromicznie modelowane ręce rażą przy innych płasko traktowanych partiach obrazu.

Krajobrazy, z wyjątkiem kilku, wydają się rozbite, a to dzięki stosowaniu lokalnego kolorytu przy równoczesnej impresjonistycznej manierze. Natomiast doskonałą iluzję wnętrza osiągnął artysta nader skromnymi środkami we „Wnętrzu kościoła”, „Śmiecie” i „Mieszczanin z Lipnicy”. U Samlickiego widać poważny wysiłek w przeciwstawieniu się impresjonizmowi oraz w dążeniu do zamykania obrazu w kompozycyjną całość.

Prace W. Hofmana trudno rozpatrywać pod kątem problemów malarskich, są to bowiem przeważnie ilustracje przeżyte artysty w Palestynie.

A. Fenichel wystawił około 60 rysunków i grafik. Ta wielka liczba świadczy, że autor nie dokonał koniecznej w takim wypadku selekcji prac.

Rysunek choćby najbardziej lapidarny może mieć cechy skończonego tworu, jeśli będzie zawierał rozwiązanie jakiegoś problemu plastycznego.

Takimi rysunkami są te prace Fenichela, w których właściwą sobie, czułą, impresyjną linią wyraża on nie tylko kształt, ale potrafi również określić światło i walor przedmiotu. Te wartości malarskie spotykamy w wielu jego rysunkach i grafikach.

Inne rysunki zaszerzować można do tzw. popularnie szkiców, notujących jedynie powierzchowny wygląd postaci czy krajobrazu. W cyklu grafik („Martyrologia Żydów”) wykonanych suchą igłą przemawiają najbardziej plansze „Rozpacz”, „Ojciec z dzieckiem” i „Ostatnia droga”; linia wystarcza tu do wydobycia plastycznego wyrazu.

Dwa wystawione drzeworyty świadczą o dużych możliwościach graficznych Fenichela.

## Polskie tradycje Wrocławia

Polski Śląsk, seria II, 3. Ewa Małczyńska. Polskie tradycje naukowe i uniwersyteckie Wrocławia. Wrocław, Instytut Śląski, 1946; str. 86 i 2 nl.

Jako trzeci numer serii wydawnictwa Instytutu Śląskiego „Polski Śląsk” ukazała się żywo napisana książeczka prof. Ewy Małczyńskiej, z zapalem i wiedzą służącej sprawie zbliżenia Śląska do Polski. Rozrośnie się ona zapewne niebawem w tom szczegółowych studiów nad głównymi rozdziałami historii życia naukowego i uniwersyteckiego Wrocławia, poda biografie najelegantszych postaci, których Małczyńska potrafiła aż tyle wyciszyć — ale i w obecnym ujęciu jest interesującym katalogiem naszych prac i zasług, naszych praw i obowiązków wobec miasta, w którym nurt polskości zawsze był silny.

Wrocław zajmował czołowe miejsce w cywilizacji polskiej XII i XIII wieku, potem polski ruch umysłowy Wrocławia skurczył się i zniknął, ale znów rozrósł się na przełomie XV i XVI wieku, w czym nie mała zasługa Krakowa. Małczyńska szkicuje, jak kształtowała się polska myśl we Wrocławiu w późniejszych czasach, aż do przejścia pod rząd pruskie, jak odrodziła się nauka polska we Wrocławiu w XIX wieku dzięki Jerzemu Samuelowi Bandtkiemu, Wojciechowi Cybulskiemu, Nehringowi i innym. Mówi o tradycjach naukowych i uniwersyteckich Wrocławia, ale bardzo gorliwie notuje też dowody polskości ludzi nieuczonych, kupców, rzemieślników i chłopów.

## Słowianie nad Odrą

Biblioteka Słowiańska. Józef Widajewicz. Weleń. Katowice, Instytut Śląski, 1946; str. 22.

Prof. Widajewicz, nazwany słusznie „ambasadorem wymarłych Słowian Połabskich”, zawarł w tym krótkim szkicu najważniejsze problemy dotyczące dziejów związku weleńskiego. Kwestia lokalizacji siedzib Welełów w praojczyźnie słowiańskiej i wędrowki ich na zachód, poruszana już w innych pracach, wysuwa się na plan pierwszy. W oparciu o wiadomości Ptolomeusza i etymologię nazwy zachodnich sąsiadów Welełów — Obodrytów („ob Odra”), nawiązując kult bóstwa radgostkiego Swaroga do miejscowości Swarozyn w powiecie tczewskim, ustalił miejsce pobytu tego ludu w starożytności na Pomorzu Wschodnim. Ich pokrewieństwo językowe z Polakami dowodzi również, że musiała istnieć epoka, kiedy byli najbliższymi sąsiadami nadwartąńskich Polan.

Aleksander Ossowski

## KOESPONDENCJA

### OSWIADCZENIE

Do redaktora „Odrodzenia”

Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich, oddział w Łodzi, po zapoznaniu się z treścią pisma Eugeniusza Kuthana z dnia 28 czerwca 1946 r. kolportowanego przezeń wśród władz i organizacji, a dotyczącego jego sporu z członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich Janem Brzechwą — nie wchodząc w meritum sprawy stwierdza, że forma i ton tej wypowiedzi wydawcy względem piśsarza są niedopuszczalne.

Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich, oddział w Łodzi, podaje ten fakt do wiadomości kolegów-pisarzy w tym celu, aby w stosunkach z firmą wydawniczą E. Kuthana zachowali jak najdalej idącą ostrożność.

Zarząd Oddziału ZZLP w Łodzi  
T. Eopalewski (prezes)  
R. Matuszewski (p. o. sekretarza)

### SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia”

W „Liście do obiecującego młodzieńca” („Z teki dr. Prota Sowizdrzała”, „Odrodzenie” nr 31) zamiast „proces rozrastania entropii” winno być „proces wzrastania entropii” i zamiast „kompleksy psychologiczne” winno być „kompleksy psychoanalityczne”.

W historii „O bazyliżku” („Z teki dr. Prota Sowizdrzała”, „Odrodzenie”, Nr 32) zamiast: „Żył w szesnastym wieku arcyuczony człowiek”, winno być: „Urodził się w szesnastym wieku itd.”

Wacław Kubacki (Częstochowa)

### SPROSTOWANIE

W artykule J. Przybosia „Z linii widnokregu” w nr. 35 w szpalcie 2, w wierszu 27 od dołu zamiast „wieloskrzydłowy” ma być: „wieloskrzydły”.